KAMENA
DWUTYGODNIK • LITERACKI
LUBLIN
15.VIII.1958
Nr 15 (157)
ROK XXV
CENA 2 ZŁ

EDWARD ABRAMOWSKI

(Fragmenty portretu wspomnieniowego*)

NELA SAMOTYHOWA

Patrzę z perspektywy tych wielu lat na dobrze znanego człowieka.

Patrzę zapewne inaczej, niż owego czerwcowego dnia, gdy umierał i gdy śmierć Jego, acz przewidywana, stała się uderzeniem bolesnym i nagłym.

W rannych godzinach 21 czerwca 1918 r. — a dzień był bardzo piękny, purpurowy i gorący, odwiedziłam go, jak prawie codzień.

Na wpół siedząc oparty o poduszki, miał w rękach książkę, czytał, czy usiłował czytać Słowackiego.

Był bardzo blady, wychudły i słaby. Poprawiając poduszki dotknęłam jego pleców. Wyczułam szkieletowatą ich szczupłość i kruchość. Poprosił o wodę. „Dajcie mi wody własną Waszą ręką, Nelątko".

Chyba około 7, gdy słońce rzucało zachodnie blaski, przybiegł do mnie syn woźnego Instytutu Psychologicznego zawiadamiając, że pan Dyrektor nie żyje.

*

Jestem może jedyną, oprócz dwóch żyjących sióstr jego drugiej żony, z kręgu osób, które znały go od dawna, blisko, na codzień, po domowemu, jak również odświętnie w sytuacjach poważnych, naukowych, profesorskich.

*

Broszura Z. R. Walczewskiego „Społeczeństwa rodowe" dostała się w moje ręce, gdy byłam pensjonarką V czy VI klasy. Polecił mi ją do przeczytania brat, student uniwersytetu warszawskiego należący do kółek, studiujących Marksa. — Czytałam tę rzecz uważnie i z przejęciem; stała się jedną z podwalin mego „uspołecznienia".

W ten sposób po raz pierwszy spotkałam się nieosobiście z Abramowskim, gdyż on to był, jak się dowiedziałam w kilka lat później, autorem tej broszury.

Drugą żoną Edwarda Abramowskiego została przyjaciółka moja Emilia Andronowska. Odtąd w miarę rozwijania się życia znajomość moja i męża mego z Abramowskim stawała się coraz ściślejsza, coraz bliższa i trwająca do 21.VI.1918 roku.

* * *

Bywają ludzie niepospolici, jednak o wyglądzie tak przeciętnym i nieciekawym, że dopiero dłuższe przebywanie z nimi, jakiś nieoczekiwany wyraz twarzy, sposób mówienia i patrzenia, jakiś gest, uśmiech, rzucone od niechcenia słowa ujawniają istotną ich wartość.

Sama aparycja Abramowskiego była niezwykła. Wspaniałe czoło, ostre rysy, szybkie, przenikliwe spojrzenie, bladość nerwowej twarzy, zmienność jej wyrazu — całość tej głowy, osadzonej dumnie, a umiejącej pochylać się z troskliwą serdecznością, wnikliwie i cierpliwie słuchać — mówiła nawet nieszczególnym fizjonomistom o wyjątkowych predyspozycjach a może i predestynacji tego człowieka, naznaczonego piętnem niepowszedniości.

Samo to jednak — ten rodzaj naturalnego wyróżnienia, którego Abramowski nie był winien, jednych irytowało, i odpychało, innych przyciągało, intrygowało i zachwycało.

Zwłaszcza, że — mówię to w imieniu tych ostatnich, którzy trafili na drogę, łączącą ich z Abramowskim, tj.: tych, którzy go **zobaczyli** naprawdę, — ta zewnętrzna osobliwa powłoka odpowiadała równie osobliwym, zdumiewającym wartościom wewnętrznym.

Abramowski — socjolog, psycholog, teoretyk socjalizmu i kooperatyzmu, etyk, **uczony** i **działacz**, zdaniem Oskara Langego „najoryginalniejszy myśliciel, jakim polska myśl społeczna może się szczycić" — był przede wszystkim **Człowiekiem Dobra** i osobiście **dobrym** człowiekiem.

I będąc właśnie **takim** o Dobro w człowieku i przez człowieka walczył i Dobro propagował.

Wierząc bez wahań i z całkowitą ufnością w człowieka, w możliwość jego rozwoju i doskonalenia się w Dobrem — w osobistym, bezpośrednim stykaniu się z ludźmi pierwiastki Dobra, drobiny Dobra w nich wyławiał, wykrywał i afirmując je do hodowania ich zachęcał.

Cieszył się, entuzjazmował tymi odkryciami; swym pozytywnym ustosunkowaniem pomagał wzrostowi i rozkwitaniu.

Można powiedzieć o nim, iż był „łaknącym duszy" poszukiwaczem istoty człowieczeństwa.

Co bowiem stanowi rdzeń jego prac naukowych i działalności społecznej?

Od „Społeczeństw rodowych" poprzez zagadnienia socjalizmu i etyki, socjalizmu i państwa, kończąc na uzasadnieniu i propagowaniu idei kooperatyzmu poszukuje dróg życiowych, możliwości praktycznych zapewniających jednostce wolność zewnętrzną i wewnętrzną przy równoczesnym uspołecznieniu i zbliżeniu międzyludzkim.

Zakres pracy Abramowskiego był olbrzymi. Jest to materiał do długich, bardzo interesujących i głębokich studiów. Pisma jego — to dzieła człowieka całkowitego, oddanego prawdom, o których mówi.

Abramowski wypełnia te książki całym sobą, wkłada w nie zachwyt, miłość, wstręt i oburzenie, trafność obserwacji, ogromną wiedzę — przelewa w nie pełnię, soczystość i barwę własnej swej istoty.

Cechy osobowości Abramowskiego, jego najgłębsze przeświadczenia stały się źródłem jego teorii. — Tworzył je nie beznamiętny badacz rejestrujący fakty, lecz artysta, człowiek uczucia i wyobraźni, posługujący się przy tym aparatem myślowym ostrym, sprawnym, niezmiernie logicznym i jasnym.

Książki jego są nie tylko mądre, ale i piękne.

Kształtował je żarliwy, wczuwający się i **aktywny** stosunek do człowieka i życia.

O teoriach Abramowskiego mówi się obecnie, że są utopią idealisty i że proponowane przez niego drogi realizacji przyjąć się nie dadzą.

Nie mniej ciż sami krytycy przyznają Abramowskiemu w wielu punktach słuszność, zdumiewające dalekowidztwo i wielką trzeźwość w ocenie faktów minionych, współczesnych i przewidywanych.

Zadziwia nieraz wybiegająca w przyszłość krytyczna, że tak ją nazwę, intuicja Abramowskiego, psychologa, socjologa i polityka. — Znamienne są pod tym względem dwie jego książki: bardzo pękna rzecz: „Z zagadnień socjalizmu" i „Socjalizm i Państwo". Przytaczam z pierwszej choćby jedno zdanie: „stawiając zagadnienie praktyczne socjalizmu jako **rewolucję moralną** wypowiadamy zarazem główną zasadę jego **polityki**, że to tylko staje się faktem historycznym, rzeczywistością życia społecznego, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludowych".

Kwintesencja zawartych w nich szeroko uzasadnionych socjologicznych i psychologicznych rozważań daje się ująć w zdaniu: „tylko przeobrażony człowiek może wykorzystać nowy świat społeczny".

*

W czasach ostatnich niejednokrotnie myślałam: „potrzebny jest nam bardzo Abramowski". Idea jego zasadnicza tak wyraźnie współbrzmi z pożegnalnymi słowami Pandit Nehru: „bądźcie szlachetni".

(Dokończenie na str. 2)

*) Odczyt wygłoszony 26.VI.58 r. w czterdziestą rocznicę śmierci Edwarda Abramowskiego w warszawskim Klubie Krzywego Koła.

KRZYSZTOF BACZYŃSKI

Niezwyciężeni

Jesteśmy silni nie orężem,
Lecz wolą twardą, nieugiętą
I świadomością, że walczymy
Za sprawę świętą.

Pozornie jesteśmy bezbronni,
Ścigani i uciemiężeni,
Lecz sztandar nasz nosi hasło:
Niezwyciężeni.

Choć naszą drogę męczeńską
Znaczą krzyże, stryczek, mogiły,
My z nich nie rozpacz czerpiemy,
Lecz nowe siły.

I chociaż nas wróg zdziesiątkuje,
I tylko nas garstka zostanie —
Z szubienic tych, mogił i krzyży —
Polska powstanie

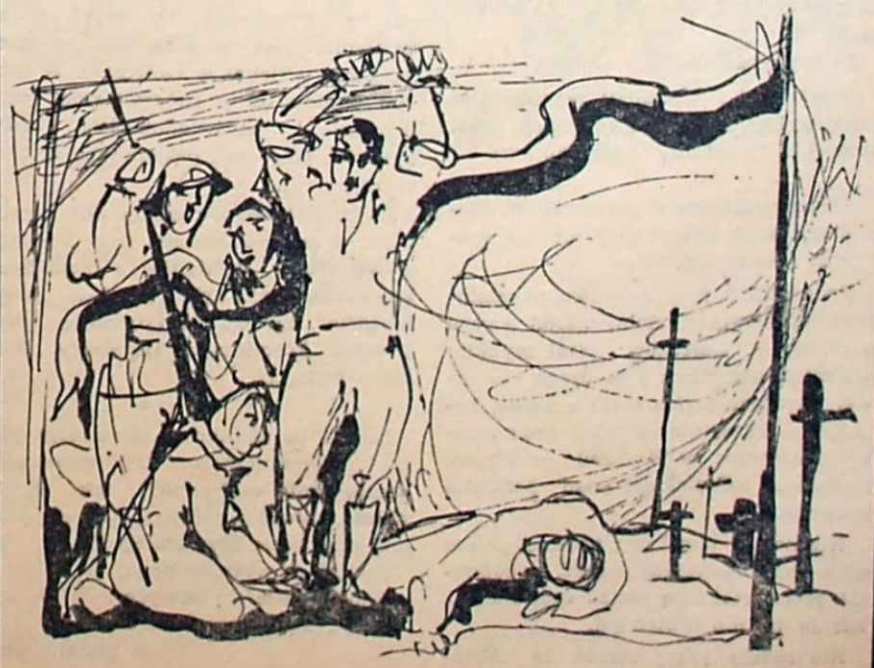

Tryptyk poetycki

TADEUSZ KŁAK

Wbrew sugestiom tytułu, poszczególne części tryptyku[1]), na który składają się zbiory wierszy Zdzisława Łączkowskiego, Józefa Ratajczaka i Zbigniewa Doleckiego, nie stanowią jednolitej całości. Łączy je przede wszystkim to, że są debiutami.

1.

Najbardziej na debiut zasłużył Łączkowski. Od niego zaczynam już choćby dlatego, że wyrósł on w lubelskim środowisku: najpierw w Sekcji Twórczości Własnej Koła Polonistów na KUL, potem w Kole Młodych przy ZLP. Rozwijał się przez wiele lat i dziś prezentuje się już jako poeta świadomy, dojrzały, o skrystalizowanym obliczu poetyckim. Być może, że wrażenie to potęguje ostra selekcja, rezygnacja z utworów słabszych. Ale to i lepiej, bo dobrze świadczy o samokontroli autora. Z grubsza można w liryce Łączkowskiego rozróżnić dwa nurty: religijno-refleksyjny i poetyckie „vie romancée". Wiersze grupy pierwszej nie posiadają na ogół jasno sprecyzowanej problematyki, posługują się raczej nieokreślonym nastrojem, opartym w dużej mierze na ornamentyce i aurze biblijnej, zwłaszcza psalmów. Wyodrębnia się zaś „Litania do Najświętszej Panny", gdzie bez trudu odczytujemy także ślady Lieberta i jego „Litanii", może nawet zbyt wyraźne.

Stały element nastroju tworzy u Łączkowskiego kolorystyka. Na barwy jest on szczególnie uwrażliwiony, uprawia malarstwo w poezji. Spostrzeżenie to odnosi się do wszystkich wierszy, ale szczególnie chodzi o tytułowy, najlepszy utwór Łączkowskiego „Słoneczniki gorejące" — poemat o kolorowej poezji malarstwa tragicznego Vincent van Gogha. Mimo epickiego tematu poemat jest na wskroś liryczny. Nie chodzi autorowi o osobę malarza, ale o jego dzieło. Łączkowski daje słowne reprodukcje jego obrazów, własne impresje na ich temat, eksploatuje główne motywy malarstwa van Gogha. Autor operuje tymi motywami i barwą doskonale i udaje mu się w sposób poetycki określić koloryt dzieła dziwaka i męczennika sztuki z Arles. Pod tym względem na uwagę zasługuje zwłaszcza pierwsza świetna część poematu i zakończenie utworu:

U stóp Chrystusa
samotnie przyklęknął
promień grający...
i w sadach soczystych
jak śliwy
zapłonęły
ogniściej
słoneczniki gorejące.

Podobną budowę lirycznych impresji ma poemat o Koperniku, posiadający sporo bardzo ciekawych artystycznie fragmentów, ale powtarzający błąd „Wita Stwosza" Gałczyńskiego, niepotrzebnie zakończeniem wracając do współczesności.

Wszystkie te pochwały nie odnoszą się do prozy poetyckiej, która jest tylko poetyzowaniem o rodowodzie sprzed półwiecza. Łączkowski sięgnął po trudny gatunek literacki, ale nie potrafił go tak odświeżyć jak np. Herbert. Herbert zrobił to przez łamanie utartych konwencji, przez wymianę nastroju i poetyzowania na intelektualny dowcip, ironię i paradoks. W konsekwencji osiągnął ogromną zwięzłość utworu. Łączkowski został przy tradycji i całkowicie przegrał.

Poezja Łączkowskiego jest poezją inspiracji, której źródła leżą poza nim samym: sztuka, wiara, baśń. „Ja" poetyckie zostaje gdzieś na uboczu. W tej umiejętności wyjścia poza siebie zawiera się chyba potwierdzenie dojrzałości poety.

2.

Inaczej Ratajczak. Twórczość jego to zupełne przeciwstawienie utworom Łączkowskiego. Wyrasta całkowicie z własnych przeżyć poety, z materiału osobistego i jest to twórczość w najbardziej klasycznym znaczeniu egotyczna, jakby powiedział Sebyła — „koncert egotyczny". W szczerości i bezpośredniości wypowiedzi Ratajczaka nie ma żadnego fałszu, ale też brak piętna indywidualnego i uroku świeżości. Jest za to głęboka rozbieżność między przeżyciem i jego artystycznym wyrazem. Przykładów jakiego takiego zgrania obydwu elementów można podać zaledwie kilka. To choćby ciekawy „Lament", w którym przeżyciu odpowiada jednolite i konsekwentne obrazowanie poetyckie, czy początek wiersza bez tytułu (s. 25):

Upływa ze mnie krew
z jeziora bioder i piersi
— muszla czaszki
uderza o przybrzeżny kamień.

To także subtelny i niebanalny erotyk „Żona", który chciałoby się przytoczyć w całości, czy wiersz „Białe płótna", wyrażający przekonywająco rzadką w całej twórczości postawę optymistyczną.

Ale zdecydowana większość utworów przedstawia się nijako, nie legitymuje się żadną odkrywczością.

Niektóre strofy rozgrzesza data ich powstania. Oto charakterystyczny przykład sonetu z wcześniejszego okresu (1954):

Nad staw zielony gdzie w mokrych liściach
niebo się modre lekko prześwietla
uniósł się długi komar flecista
w chmurach gra głucho żabia basetla.
(Na polu)

To można określić jako silenie się na poetyckość. Później następuje zwrot ku prostocie, ale jakże często zamiast niej otrzymujemy zwykłą prozę. To za kończenie „Listu" z 1957:

Lecz gdy długie rozłąki chwile
wielkomiejski zagłuszyć chce hałas
znowu w oczy swe smutne chylę
zagubione w sobie nasze ciała.

Proporcja plusów i minusów „Niepogody" nie wróży Ratajczakowi łatwej drogi do poezji, choć jeszcze droga ta nie jest przed nim zamknięta.

3.

I wreszcie Dolecki. Przyznam się, że lektura jego „Spotkania z Lemuelem" nie należy do rzeczy najbardziej pasjonujących. Znużenie daje się we znaki już po paru wierszach i trzeba sporego wysiłku, by dobrnąć do końca. Powtórne czy dalsze czytanie uczucie to tylko wzmaga. Czy więc twórczość Doleckiego jest pomyłką? Twierdząca odpowiedź na to pytanie byłaby chyba przedwczesna. Autor zdradza w swych wierszach sporą kulturę literacką i doświadczenie, które pozwala mu uniknąć typowo debiutanckich pomyłek. A może znamieniem dzisiejszych debiutantów jest zauważalna tu poprawność poetycka, falsyfikacja poezji? Dolecki wykształcił sobie styl — lepiej to nazwać manierą, — który przesądza o jakości jego utworów. Zacznijmy od przykładu:

Ten lunapark jest na dnie wód
gdzie nie sięgają spojrzenia

koło z pianolą wolno powolutku
okrąża wirem niepamięci
tych, którzy od lądu mielizn odeszli
i od ramion swych tulących pustkę.
(Lunapark odeszłych)

Przykład ten ilustruje typ metafory Doleckiego, która zamiast zawężać, konkretyzować obraz, rozprasza go przez próbę wiązania i określania konkretu pojęciami abstrakcyjnymi. Abstrakcyjność może wyniknąć z intelektualizacji poezji, tu jednak jest pochodną niedowładu wyobraźni i nieumiejętności obrazowania. Dolecki wychodzi z zasady jak najsłuszniejszej — nazywania

(Dokończenie na str. 8)

1) Zdzisław Łączkowski: Słoneczniki gorejące. W-wa 1957. Pax. Józef Ratajczak: Niepogoda. Poznań 1957. Wyd. Poznańskie. Zbigniew Dolecki: Spotkania z Lemuelem. W-wa 1957. Pax.

EDWARD ABRAMOWSKI

(Dokończenie ze str. 1)

Obcowanie z Abramowskim usposabiało do wejścia w swoistego rodzaju trans psychiczny, odsuwający od tego wszystkiego, co drobne, bieżące i bagatelne. Ważkimi i ważnymi stawały się imponderabilia.

Ciekawa była w tym człowieku zdolność abstrahowania się od napastliwej i osaczającej chwili i wznoszenia się do jakiejś syntezy, scalającej tłumną różnorakość otaczającej rzeczywistości.

To się udzielało.

O wartości i ładunku psychicznym jego wykładów uniwersyteckich pisał obszernie Konstanty Krzeczkowski.

Abramowski umiał pracować w skupieniu wśród najbardziej nie sprzyjających warunków.

Przysiadłszy przy skrawku zapełnionego drobiazgami stołu, wśród gwaru rozmowy i śmiechów pisał szybkim drobnym maczkiem swe prace naukowe, wysnuwając ich treść z siebie, lub notował skrzętnie wyniki prowadzonych wówczas w Brukseli własnymi metodami doświadczeń nad pamięcią i uwagą.

Nie należy wszakże z podanej przeze mnie charakterystyki wnosić, że pomiatał rzeczywistością dnia codziennego, lub że jej nie dostrzegał.

Nie należy przypuszczać, że Abramowski nastrajał siebie na podniosłą nutę, że coś celebrował uroczyście. Był na to zbyt **prawdziwy**.

Wesoły, serdeczny, prosty w codziennym życiu, gospodarny, w pewnym stopniu smakosz, przyrządzający doskonałe befsztyki i jajecznicę, nie umiejący obywać się bez czarnej kawy, też osobiście gotowanej i koniecznej jako akcesorium pracy.

Był raczej epikurejczykiem, niż ascetą. Był człowiekiem silnych doznań i wzruszeń. Kochał piękno, sztukę, naturę. Przeżywał te uroki życia, wchłaniał je całym sobą, tak, jak całego siebie wkładał w twórczość. W sposób panteistyczny bytował całą świadomością i podświadomością, która była dla niego tak pasjonującą sprawą w człowieku.

Badania i doświadczenia nad zagadnieniem podświadomości stały się podstawą cyklu wykładów o Metafizyce Doświadczalnej. Była to jego „pieśń łabędzia". Echem artystycznym jego przeżyć „kosmicznych" są strofy „Poematu śmierci".

* * *

Dałam tu ułamkowy obraz tego bogactwa psychicznego, tej wspaniałej **oceanicznej** osobowości, tak oryginalnej, **nowej** i jedynej. Zastosuję do niej orzeczenie Słowackiego:

Święci są wszyscy nowi,
Kto dotknie się nowych
Ten rękę ducha poczuje
w płomieniach.

Nela Samotyhowa

KRAJ LAT DZIECINNYCH

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

Wydane niedawno powtórnie fragmenty wspomnień siostry Juliana Tuwima* malują obraz kraju jego lat dziecinnych — rodzinnego domu i miasta. Obraz tym ciekawszy, że właściwie mało znany.

W pamiętnikach przyjaciół i znajomych Tuwima spotykamy prawie zawsze portret poety z lat międzywojennych z okresu warszawskiego. Czy to będą wspomnienia Iwaszkiewicza, Zaruby, Magdaleny Samozwaniec, a choćby Łopka Krukowskiego, wszędzie Tuwim występuje jako człowiek dojrzały, znany poeta, wielkość uznawana i ceniona. Książka Ireny Tuwim to wycieczka do Łodzi, do kraju lat dziecinnych, który podobno trzeba znać, by zrozumieć poetę. Autorka niewiele miejsca poświęca bratu — mówi o nim właściwie bardzo mało, mimo to przez cały czas niemal czuje się w książce obecność tego niezwykłego chłopca ze znamieniem na twarzy — „szalonego Julka", jak go nazywa siostra.

„Łódzkie pory roku" to pięć luźno powiązanych szkiców, z których każdy stanowi właściwie pewną zamkniętą artystyczną całość. W czterech pierwszych sceną jest mieszkanie państwa Tuwimów na ulicy Andrzeja, zadymione ulice Łodzi, anemiczne skwerki, wreszcie Inowłódz — pierwsze, dość zresztą późne, zetknięcie się ze wsią.

Dzieciństwo Tuwimów to lata przed pierwszą wojną światową, lata niepokojów, rozruchów, lata rewolucji 1905 roku. Nic dziwnego zatem, że nie było to dzieciństwo „sielskie anielskie". Smutną jego syntezę daje autorka na początku szkicu pt. „Strachy dzieciństwa": „...pełne zmór i strachów, i lęków nocnych, uwikłane w mity ponurej codzienności" (s. 9). Świat przeżywał wojny, rewolucje, gotował się do jednego z największych dziejowych kataklizmów, a tymczasem na brzydkiej ulicy przemysłowego miasta, w ponurym, wilgotnym mieszkaniu skromnego urzędnika życie płynęło cicho, spokojnie, smutno... Aż dziw, że w takiej szarej, ponurej atmosferze wyrósł poeta — jeden z największych władców języka polskiego.

Ojciec zawiedziony w nadziejach, żyjący wspomnieniami, matka — cicha kobieta w wytartej salopce, dwie służące i mała siostrzyczka stanowili najbliższe otoczenie przyszłego autora „Słów we krwi". Atmosfera domu rodzinnego miała w sobie coś z klimatu powieści Dickensa: ciemne, wilgotne pokoje, ciężkie staroświeckie meble, ciągła walka o chleb powszedni, życie w kręgu wiecznie tych samych ludzi, domów i ulic, groźna niańka, gadatliwa służąca, biedota w oficynie.

Łódź w tamtych czasach była miastem pełnym kontrastów, obok magnatów przemysłowych i biedoty robotniczej, wegetowała marząc o jaśniejszym jutrze wiecznie biedna inteligencja. Właściwie czy biedna — to jeszcze pytanie. Wprawdzie salopka mamy była wytarta i na wyjazd do Inowłodza trzeba było długo czekać, jednak pięciopokojowe mieszkanie, dwie służące...

Dużo miejsca w książce zajmują wspomnienia o służącej Antosi, o starej krawcowej, o sąsiadach — robotnikach, obok dla kontrastu wzmianki o balach i pałacach łódzkiej finansjery. Stosunkowo mało mówi się o rodzicach, zwłaszcza o ojcu. Mimo to stosunek Ireny Tuwim do rodziny jest nacechowany ciepłem, serdecznością, niekiedy wzruszającą. Obraz dzieciństwa poety uzupełniają wakacje, wymarzone wakacje na wsi. Dzieci, wychowane w mieście, tęskniące za zielenią, lasem, szerokim horyzontem pól, kontakt z przyrodą odczuwają jako podnietę życiową, jako silny bodziec. Poznanie ziemi ojczystej poza rodzinnym miastem dodaje radości, napełnia nadzieją, rozszerza kręgi zainteresowań.

Bardzo silny, organiczny związek poety z naturą, jakaś entuzjastyczna biologiczność jego poezji wynika być może z późnego zetknięcia się z lasem, rzeką, polem. Z drugiej strony lata przeżyte w Łodzi wycisnęły równie silne piętno na twórczości Tuwima. Jeszcze pod koniec życia w „Kwiatach polskich" wróci on do rodzinnego miasta, ożywi wspomnienia dzieciństwa, łódzką ulicę wprowadzi do poezji.

„Łódzkie pory roku" przesycone są jakąś jesiennością, pełną smutku. Smutne dzieciństwo i młodość, ponure czasy. Autorka daje obraz barwny, pełen plastyki, lecz przygnębiający. Dotyczy to specjalnie rozdziału pt. „Widzenie". Stanowi on tragiczny epilog dzieciństwa, któremu poświęcone są poprzednie części książki. Wizyta autorki, w przededniu ostatniej wojny, w szpitalu u obłąkanej matki ma w sobie coś z makabrycznego snu. Chora ma uraz na punkcie katastrofy, katastrofy, która, niestety, stała się potem tragiczną rzeczywistością świata, Polski i rodziny Tuwimów.

Rozpoczynając lekturę „Pór roku" szukałem przede wszystkim Tuwima i chociaż nie znalazłem tam jego portretu w dzieciństwie i wczesnej młodości, poznałem atmosferę — klimat, w którym rósł, wyrastał na poetę.

*) *Irena Tuwim — „Łódzkie pory roku", Czytelnik, 1958.*

Poznań na literackim zakręcie

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Do nienajlepszych obyczajów naszej powojennej krytyki należy apodyktyczne wyznaczanie w rozwoju i drodze różnych pisarzy i zjawisk literackich, a nawet środowisk twórczych, niemniej różnych etapów, przełomów i zakrętów. Takich klasyfikacyjnych eksperymentów dokonywano i na literaturze poznańskiej, przy czym skala cenzurek była bardzo rozległa: potrafiono mówić o literackim Poznaniu jednocześnie, nieledwie jednym tchem, jako o wielkopolskich Atenach i drobnomieszczańskim Ciemnogrodzie, stolicy kulturalnego zacofania i kołtunerii. Z tego arcypolskiego sentymentu do skrajności wzięło swój początek również radosne obwieszczanie co pewien czas o przełomie w literaturze naszego regionu, o momencie jakiegoś cudownego, a gwałtownego odrodzenia, od którego począwszy pisarze poznańscy staną się geniuszami wyobraźni i stylu, a ich książki ułożą się na półkach w rzędzie sensacji i best-sellerów na co najmniej ogólnopolską miarę.

Wydaje mi się, że tego rodzaju — wynikające zresztą z jak najlepszych intencji — proroctwa zyskały od pewnego czasu swoistą, materialną bazę, która pozwoli im łatwiej przenosić się ze sfery pobożnych życzeń do jak najbardziej namacalnej rzeczywistości. Ową bazą jest Wydawnictwo Poznańskie, placówka edytorska istniejąca i działająca także po to, by tutejszym pisarzom umożliwić oglądanie własnych książek na półkach księgarskich, co przy zagęszczonych planach i niezbyt przychylnym stosunku Czytelnika, PIW-u, czy Wydawnictwa Literackiego do literatów z prowincji było nieraz ich nieosiągalnym marzeniem. Toteż od kilkunastu miesięcy o wiele częściej spotykamy nazwiska poznańskich autorów na wystawach i stoiskach księgarskich, dużo z nich pojawia się tutaj po raz pierwszy, wielu utrwala lub osłabia swoje pozycje na literackiej giełdzie.

Od początku bieżącego roku owa książkowa ekspansja literackiego Poznania wyraźnie przybrała na impecie, co każe z jednej strony przyjrzeć jej się uważnie, z drugiej zaś — zastanowić się, czy nie wróży to jakiegoś rzeczywistego przełomu, zmiany na lepsze w literaturze, a co za tym i w kulturze naszego miasta.

Zmieniło się przede wszystkim nad podziw wiele w poznańskiej poezji i to zwłaszcza — w młodej poezji. Zbiorowy debiut grupy „Wierzbak", „Liść człowieka", wydany w ubiegłym roku na Festiwal Młodej Poezji, pociągnął za sobą istną falangę debiutów, zarówno zbiorowych jak i indywidualnych, w trudnej sztuce mowy wiązanej. „Niepogoda" Józefa Ratajczaka, „Klatka z luster" Stanisława Kamińskiego, „Powracający Mohikanie" Andrzeja Zeylanda, wreszcie „Piąte strony świata" grupy „Swantewit" — oto plejada publikacji poznańskiej młodzieży poetyckiej, którą w niedługim czasie mają uzupełnić debiuty Ryszarda Daneckiego i Eugeniusza Wachowiaka. Nie ma co: bania z poezją rozbiła się nad Poznaniem.

Czy jednak owe wszystkie tomiki, publikowane z wielką graficzną starannością przez Wydawnictwo Poznańskie, są równie niezbitym dowodem talentu, co przykładem prawdziwie młodzieńczej prężności i inicjatywy ich autorów oraz dobrej woli wydawcy? Trudno na to odpowiedzieć zawsze twierdząco, zwłaszcza, że Ratajczak, Kamiński, Zeyland i pięcioro „swantewitowców" prezentują dość różne stopnie i jakości poetyckiego zaawansowania, niejednakowo radzą sobie z trudnymi i skomplikowanymi arkanami poetyckiego rzemiosła. Najlepiej, choć niejednakowo dobrze, wygląda to u autorów indywidualnych tomików, najgorzej — u współtwórców poetyckiego debiutu grupy „Swantewit".

Spośród Ratajczaka, Kamińskiego i Zeylanda poznańscy krytycy największymi łaskami i obietnicami obdarzają właśnie Ratajczaka i jego „Niepogodę". Mówi się o świeżości wyobraźni Ratajczaka, o jego na wskroś lirycznym przeżywaniu świata, o subtelnym, niewątpliwie autobiograficznym emocjonalizmie „Niepogody" — i mówi się słusznie. Osobiście dołożyłbym do tego bukietu pochwał nieczęsto występujące u naszych poetów najpóźniejszego chowu zjawisko: Ratajczak potrafi zaangażować do konstrukcji swoich wierszy historię, potrafi ją uczynić bohaterem poezji na równi z własnym „ja", nie chce i nie umie pisać poza dobrem i złem własnego czasu. To bardzo wiele, choć — z drugiej strony — trzeba uczciwie i bez osłonek powiedzieć, że „Niepogoda" nie jest jeszcze poetycką książką, która by mogła stanąć w szeregu obok publikacji Białoszewskiego, Harasymowicza czy nawet Drozdowskiego i wywoływać wraz z nimi dyskusję wokół własnej treści i formy. Ratajczak jest dopiero poetą obiecującym, a na obiecujących talentach nigdy polskiej literaturze nie zbywało, brakło jej natomiast często twórców dochodzących twardą i usilną pracą do osiągnięć ideowych i artystycznych naprawdę dużej miary. Takiej pracy i niezmordowanego, cyzelatorskiego wysiłku mamy prawo od Ratajczaka i od jego talentu wymagać.

Poetami podobnie, choć co innego i w innym stopniu obiecującymi, są również Stanisław Kamiński i Andrzej Zeyland. „Klatka z luster" Kamińskiego mimo zawartych w niej pewnych wtórności artystycznych rodem z groteski i parodii Gałczyńskiego — przedstawia lirykę bardzo interesującą i jakże różną od tych pompatyczno-schematycznych dytyrambów, jakie Kamiński publikował w latach pięćdziesiątych w „Nowej Kulturze". Nie ma ich w pierwszej książce Kamińskiego, która za to po brzegi wypełniona jest ironią, drwiną i zwątpieniem, znamionującymi jakiś gwałtowny przewrót w wyobraźni i intelekcie artysty, przewrót, być może, bardzo dla jego talentu zbawienny.

I tak samo obiecuje sporo — wbrew cenzurce Włodzimierza Odojewskiego w „Tygodniku Zachodnim" — poezja Andrzeja Zeylanda, zawarta w jego „Powracających Mohikanach". Spośród wspomnianych tutaj pisarzy Zeyland ma niewątpliwie największe trudności w wypracowaniu własnej poetyki, własnego, oryginalnego stylu lirycznego. Ale też — mimo częstych stylistycznych i prozodyjnych potknięć — poetyka Zeylanda jest najbardziej oryginalna w koncepcji, próbuje bowiem — nieraz z dużym efektem — przerzucić most między liryką i prozą dnia powszedniego, nadać poezji kształt bezpośredniej, prostej wypowiedzi, jasnej i wzruszającej możliwie dla każdego. Że te cechy liryki Zeylanda nie zawsze plastycznie występują w „Powracających Mohikanach" — winna jest kompozycja tomiku, która ominęła wiele utworów wartościowych, a za to utrzymała wiersze słabsze, nieraz zupełnie chybione w swym kształcie artystycznym.

Najmniej obietnic mieszczą w sobie „Piąte strony świata" Jadwigi Badowskiej, Łucji Danielewskiej, Juliana Rynowieckiego, Czesława Kubalika i Janusza Sauera, poetyckich członków szczycącej się niezależnym programem estetycznym grupy „Swantewit". Poza bezsprzecznie utalentowanym Rynowieckim i stawiającą ciekawe propozycje liryczne Badowską, są to wszystko autorzy, którzy nie bardzo jeszcze wiedzą, czego wymagać od poezji i od własnych, poetyckich możliwości, w jakim kierunku ideowo-artystycznym się zwrócić i jak go w konkretnych utworach literackich realizować. Przypuszczam, że właśnie wskutek tego wyraźnie zaznaczającego się w treści niezdecydowania, rozciągającego się nawet na trudną dziedzinę koncepcji artystycznych i środków formalnych, „Pią-

(Dokończenie na str. 6)

Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ

Przekłady Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

ŁESIA UKRAINKA (1871—1913)

Adagio pensieroso

Pragnęłabym popłynąć cicho z wodą
jak ukwiecona obłędna Ofelia.
A za mną by płynęły pieśni moje
kołysząc się jak ta łagodna woda
wciąż dalej, dalej...
I woda po mału

lekką swą falą by mnie zagarniała
niby dzieciątko cieniutkim powiciem.
I kołysałaby mnie jak marzenie
wciąż ciszej, ciszej...
A ja zaś bezwładnie
dałabym nieść się i zagarniać falom
płynąc z cichutkim, nieuchwytnym śpiewem,
w błękit się jasnej wody opuszczając
wciąż głębiej, głębiej...
Potem by na fali
pozostał tylko oddźwięk niewyraźny
pieśni mych niby wspomnienie, co znika,
ballady z dawnych czasów zapomnianej, —
było w niej coś smutnego i krwawego,
lecz jak przypomnieć sobie? Pieśń ta brzmiała
dawno już, dawno...
A potem i oddźwięk
znikłby; na wodzie by się kołysały
tylko me kwiatki, co nie poszły za mną
aż na dno rzeki. Płynęłyby, póki
nie zatrzymałyby się gdzieś w zatoce
wczepione w białych wodnych lilij płatki.
Chyliłyby się ponad senną wodą
płaczących brzóz gałęzie nieruchome;
zacisza tego wiatr by nie dosięgał:
i tylko z nieba na lilie, na kwiaty,
które w obłędzie rwałam nieprzytomna,
kładłby się spokój...

(„Rytmy")

IWAN FRANKO (1856—1916)

Dekadent

Ja i dekadent? A to mi rzecz nowa!
Tyś się zatrzymał nad jednym momentem
i podchwytując modne puste słowo,
ogłaszasz wszystkim: „On jest dekadentem!"

Tak, w pieśniach tych jest ból i są zgryzoty.
Już tak wypadło: droga w życiu ciężka,
ale w nich, bracie, jest i inny motyw:
nadzieja, wola i żądza zwycięstwa.

Nie umiem próżno poddać się zgryzocie,
bezpłodnie słuchać, jak mi w uszach brzęczy,
i póki żyję, pragnę żyć w istocie,
i w walce nie znam, co to strach zajęczy.

Nieraz z musztardą łykać chrzan musiałem,
płonąłem, stygłem, chrypiąc i nie dysząc,
a jednak nigdy zgagi nie zaznałem,
nie nabawiłem się kataru kiszek.

Ja i dekadent? Jestem ludu synem,
ludu, co rwie się do słońca co chwila.
Mym hasłem: wolność i pogoń za czynem,
jam chłop, więc prolog, ale nie epilog.

Przy stole pić potrafię nienajgorzej,
za to i w zwadzie nie folguje impet,
na uczcie życia nuda mnie nie zmoże
i w nędzy — nosa nie spuszczę na kwintę.

Jam nie darmozjad ogłupiały z łoju,
co w piątek procent do procentu składa,
a w świątek lutnię na wiwat nastroi...
A więc do diabła — cóż to za dekadent?!

(„Mój szmaragd")

Wiersz skierowany pod adresem krytyka Wasyla Szczurata, który po ukazaniu się zbioru wierszy „Uwiędłe liście" nazwał Frankę dekadentem.

PAWEŁ TYCZYNA (ur. 1891)

Gdzieś zbliżała się już wiosna

Gdzieś zbliżała się już wiosna. — Rzekłem wtedy do niej: wiosno!
Srebrnoskrzydłym gołąbeczkiem
Na kącikach warg
Coś sfrunęło z niej uśmieszkiem
Aż na duszy dno...

Żyto już się zazłociło. — Rzekłem wtedy do niej: miła!
Gniewnie brewki załamała,
Odwróciła się. I szust!
Tylko wciąż się oglądała,
Jakby chciała krzyknąć: chodź!

Mgły zaczęły sunąć płoche. — Rzekłem do niej: ty nie kochasz!
Popatrzyła. Przemówiła.
Ot i jesień kroczy już.
A więc kochać? — mów. A prędzej! —
Niby kindżał błysnął śmiech.

Gaj pod śniegiem się zasmucił. — Rzekłem: żegnaj... już nie wrócę!
I serdecznym ciepłym blaskiem
Coś bryznęło z oczu jej...
Srebrnoskrzydłym gołąbeczkiem
Już przylgnęła do mych ust!

(„Słoneczne klarnety")

MAKSYM RYLSKI (ur. 1895)

Praca

Kochaj winnicę swą i rydla dźwięczny głos!
Wieki zmieniają się i państw nie szczędzi los,
a tam, gdzie kiedyś jeszcze czaban spał spokojny,
potężne rosną miasta, kipią krwawe wojny,
w zmaganiu wiecznym krząta się śmiertelny lud.
I wiedz, że tylko tu, gdzie nieustanny trud
rodzące łono ziemi nasyconej rani,
dojrzeje winny sok i radość się ostanie.

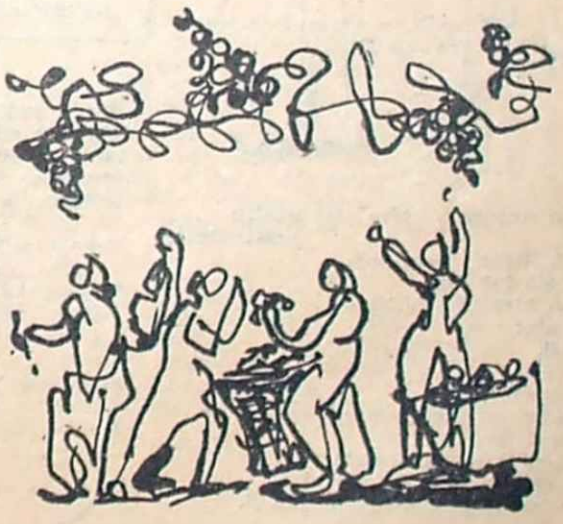

HISTORIA BENGALSKA

WACŁAW GRALEWSKI

UNTERSTURMFUEHRER Waffen SS, dr Otto Lausmann patrzył markotnie na duże okno w poczekalni dworca kolejowego. Właściwie dworzec to za wielkie słowo. Wystarczyłoby jakieś skromniejsze określenie. Żadne przesadne słowa nie pomogą, gdy rzeczywistość ma skromne wymiary.

Tak myślał untersturmfuehrer Lausmann i zrobiło mu się jeszcze bardziej markotnie.

Poczekalnia była zatłoczona. Wypełniali ją żołnierze i cywile. Było ich dużo. Zastanawiająco dużo...

Wśród cywilów przeważał język niemiecki. Mieli liczne pakunki, toboły i rozglądali się nerwowo dokoła.

Nastrój podniecenia udzielał się — dr Lausmann czuł to doskonale.

Oni wyjadą, a on, Lausmann będzie tu tkwić w tej prowincjonalnej dziurze. Jak długo?

Chełm Lubelski nie jest właściwym miejscem dla człowieka z wyższymi aspiracjami. W stwierdzeniu tym pojawiła się pewna doza goryczy. W umyśle silnie zdyscyplinowanego nazi, jakim był bez wątpienia untersturmfuehrer, zrodziła się refleksja. To już było niezwykłe. Lausmann przyzwyczajony do ślepego wykonywania rozkazów nie dziwił się niczemu. Nawet sytuacji własnej. Pomagała mu w tym powolność kojarzenia, jaka stanowiła cechę jego umysłu.

— Spóźniony zapłon — pokpiwali delikatnie, oczywiście za jego plecami, inteligentniejsi przełożeni.

Teraz pod wpływem owej kropli goryczy zaczął myśleć żywiej. Zastanowił go pewien fakt, na który poprzednio nie zwracał dostatecznej uwagi. Oto on, człowiek z wyższym wykształceniem, z tytułem naukowym (który zawsze z poczuciem słusznej dumy wymieniał), zajmował dość skromne stanowisko.

Jego praca językoznawcza, dzieło życia, w której podkreślał wyższość źródłosłowów germańskich nad romańskimi i wysuwał tezę, że istotną cechą genialnych dzieł literackich jest niemiecki a nie łaciński szyk zdania, nie została należycie oceniona. Inni, z mniejszymi kwalifikacjami, wysuwając podobne tezy, zostali wyróżnieni i nagrodzeni. A na niego nie zwrócono uwagi. Nawet jakby zepchnięto trochę na boczny tor. Najlepszy dowód, że przydzielono go do Abteilungpropaganda w tym jakże nędznym mieście i co gorsze, dowiedział się niedawno, że ze względu na sytuację będzie prawdopodobnie wysłany na front.

Tak jakby on był w stanie ją poprawić...

Codziennie przychodził tu do poczekalni stacyjnej i codziennie patrzył na odjeżdżających.

Dziś nastrój miał gorszy niż zwykle. W biurze wynikła mała awantura. Ten obrzydliwy Kokoschka, co to wprawdzie miał matkę Niemkę, ale ojca Czecha i który w ogóle jest arogancki, zaczął krzyczeć, że on, Lausmann, sieje defetyzm, chodzi bowiem z ponurą miną. Gdyby on, Kokoschka, dostał przydział do frontowego oddziału, to skakałby z radości i wszystkich kolegów zaprosił na piwo.

Untersturmfuehrer Lausmann nie bardzo wierzył w szczerość wypowiedzi Kokoschki, ale zrobiła ona pewne wrażenie. Czuł nieprzychylną dla siebie atmosferę.

W tych warunkach wolał iść na stację niż do Deutsches Haus. Za dużo tam kiepskich kpiarzy. No i Kokoschka będzie im przewodzić.

Jeśli tak dalej pójdzie, to osobą jego mogą się zainteresować niektóre czynniki... Lepiej więc nie zwracać na siebie uwagi.

Westchnąwszy, poruszył się i skierował do bufetu.

— Duże piwo — powiedział bezbarwnie.

Pijąc je czuł ulgę, choć nie trwało to długo. Postawił na ladzie pusty kufel i mechanicznie sięgnął do kieszeni.

Wstrząsnął nim dreszcz. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że na dworze jest siarczysty mróz i że niepotrzebnie pił zimne piwo. Uczynił to z nawyku nie zastanawiając się.

Zaczął spacerować, przeciskając się wśród licznych grup odjeżdżających. Przystanął, rzucił spojrzenie za siebie, odwrócił się i jął lustrować podróżnych.

Nagle w głębi sali dostrzegł znajomą postać. Był to młody funkcjonariusz Arbeitsamt'u, Karl Niederweiss, nieodłączny towarzysz Kokoschki.

Lausmann doznał przykrego uczucia.

— Ten przeklęty szczeniak przyszedł tu zapewne na przeszpiegi — pomyślał. Jak zobaczy jego, Lausmanna, tu na stacji, to opowie o spotkaniu Kokoschce, a ten już z tego zrobi odpowiedni pasztet.

Postanowił zejść z oczu Niederweissowi i wymknąć się w kierunku miasta.

Ale zanim zrobił krok naprzód, poczuł silny ból w brzuchu. Ból zamanifestował się niespodziewanie i gwałtownie. Nie było wątpliwości, że zimne piwo odegrało w tym pewną rolę. A może i widok Niederweissa...

Tak czy inaczej trzeba i to szybko...

Przypomniał sobie, że ubikacja jest na peronie. W tej zapadłej dziurze nie było na stacji nawet przyzwoitej toalety. Wzdrygnął się na myśl o mrozie, ale wszystko to razem wzięte jest lepsze niż zetknięcie z Niederweissem.

Wyszedł na peron i podążył do ustronnej drewnianej budki, która stała przy końcu budynku. Ustawiona poprzecznie w stosunku do niego zwracała uwagę wszystkich.

Dr Lausmann wszedł i zamknął drzwiczki. Był podniecony. Czuł, że ból osiąga punkt kulminacyjny.

Pewne trudności miał ze zdjęciem płaszcza. To tak zwykle jak się człowiekowi spieszy. Ze względu na temperaturę ubrał się odpowiednio. Podwójny komplet ciepłej bielizny, mundur, jakieś zdaje się damskie, pożydowskie futro, które Fuehrer w dobroci swej mu przydzielił no i na to płaszcz i pas. Właśnie dotarł do ostatniej warstwy przyodziewku, gdy ktoś nagle stuknął mocno w drzwiczki, a potem zaczął mocno drapać.

— Zajęte — krzyknął.

Drapanie ustało, ale w chwilę potem rozpoczęło się na nowo i to ze wzmożoną siłą.

— Ktoś robi głupi kawał, a może to Kokoschka. Ten Niederweiss nie bez powodu zjawił się w poczekalni. Może go śledzili. Trzeba na to zareagować.

Energicznie pchnął drzwiczki i otworzył usta, aby nawymyślać natrętowi. Otworzył i znieruchomiał.

Zaczął doznawać jakichś niecodziennych wrażeń.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa miast wybiegać na zewnątrz opadały w głąb, na dno żołądka, powodując fizyczne wstrząsy.

Czuł, jak dolna szczęka opada mu coraz bardziej, jak ręce podtrzymujące spodnie wiotczeją, a palce przestają spełniać swe uchwytowe role.

Naprzeciwko otwartych drzwiczek, na wprost niego, untersturmfuerera doktora Otto Lausmanna, stał prawdziwy tygrys. Bengalski tygrys.

Tygrys patrzył na Lausmanna swymi zielonymi kocimi oczami, a Lausmann na tygrysa. Ogarnęło go uczucie trudne do określenia.

Na moment jak maleńki ognik w ciemnościach, zaświtała mu myśl, że to może Kokoschka przebrał się za tygrysa, aby jego, untersturmfuehrera, przestraszyć i ośmieszyć, ale szybko, jako niedorzeczna, znikła.

Tymczasem tygrys przysiadł na zadzie i podniósł łapę.

Trudno się było zorientować, czy szykuje się do skoku, czy też czyni to z innych jemu tylko znanych powodów.

Lausmann nagle uświadomił sobie, że stanął w obliczu groźnego i niebywałego niebezpieczeństwa. A uświadomiwszy to sobie przestał oddziaływać na własne hamulce...

Co się potem stało, dobrze nie pamięta.

Ktoś krzyczał, ktoś biegał, słychać było liczne głosy...

Pełną świadomość odzyskał dopiero w poczekalni. Dwaj ludzie trzymali go pod ręce (jeden to był niestety Niederweiss). Obaj odwracali głowy i mocno się krzywili.

Lausmann zorientował się, że dziesiątki ludzi patrzą na niego, że jest roznegliżowany i że w ogóle...

W trzy dni po tym zajściu odbyła się rozprawa w miejscowym urzędzie politycznym, któremu on, Lausmann, jako członek partii i żołnierz wyborowych oddziałów, podlegał.

Stan faktyczny był nieskomplikowany, aczkolwiek zbieg okoliczności niezwykły.

Przez Chełm przejeżdżał pociąg towarowy wiozący cyrk. Z wagonu-klatki wymknął się przez nieuwagę obsługi tygrys. Widocznie jednak mróz za bardzo dał mu się we znaki, bo zbieg zaczął drapać do budki, która, być może, trochę mu cyrkową klatkę przypominała.

Na tło to rzucone zostało jako ilustracja zachowanie się Lausmanna.

W kolegium siedział Kokoschka, a jako świadek zeznawał Niederweiss.

Untersturmfuehrer oskarżony był o tchórzostwo, zhańbienie munduru żołnierza Waffen SS i o poniżenie godności przedstawiciela Herrenvolku wobec tłumu untermenschów, jakimi wiadomo, są Polacy. I tak podnoszą coraz bezczelniej głowy, a teraz, gdy mają dowód kiepskiej odporności psychicznej i nerwowej...

Jeśli Lausmann tak mocno wystraszył się tygrysa, to czyż Trzecia Rzesza może liczyć na niego, gdy zobaczy on na froncie bolszewików?

Oskarżyciel wątpił w przydatność bojową oskarżonego.

Ten pogorszył swoją sprawę twierdząc, w swym zresztą mętnym i kiepsko zbudowanym przemówieniu (miast przyznać się do winy), że głęboko jest przekonany, iż każdy z członków Kolegium, nie wyłączając świadka Niederweissa, na jego miejscu zachowałby się podobnie.

— To już prawdziwa bezczelność, pomawiać nas w tak podły sposób — zapienił się przewodniczący.

Wyrok został wydany jednomyślnie. Lausmann został zdegradowany oraz skreślony z listy członków partii narodowo-socjalistycznej. Ponadto skreślono go z rejestrów armii czynnej i rezerwowej, co jest niezmiernie, jak wiadomo, dotkliwą karą dla każdego Niemca.

Dr Lausmann wysłuchał wyroku ze spuszczoną głową. Nie spodziewał się, że potraktują go tak bezwzględnie.

Ze spuszczoną głową i z nakazem powrotu do Rzeszy wyszedł z gmachu urzędu politycznego.

W dwa dni potem maszerował na stację, ubrany po cywilnemu, dźwigając ciężką walizkę. Nikt z dawnych kolegów nie odprowadzał go.

Jedynym jasnym promyczkiem była wiadomość, że zarówno Kokoschka jak i Niederweiss jadą na front.

Zapewne skakali z radości i stawiali kolegom piwo...

LEOPOLD GÓRSKI

Przyjaciołom z Gimnazjum Staszica

Kwiaty strzeliste jak myśl
ukryta w wiejskim ogródku
jak was przypomnieć pamięci
gdy szron na skroni
przez krzyż wiosennych szyb
głowę zmęczoną skłonisz
ręka na którejś oparty
jak rosa na zbożu drży
i nie wiem czyś
noce oddzielił od smutków

tych lat dwadzieścia pięć
jak szkolny dziedziniec przed nami
w czerwcowe popołudnie
łańcuchem spięte z teatrem
nie wybuchł już
nostalgii wezbranej dynamit
schody stopnie pod górę
jak w termometrze rtęć
a przed budynkiem stróż
dziś jan z czarnolasu ma wartę

a kiedy starszy lublin
za miasto się wydłużył
pamięć omotał bluszcz
jak okna szkolnego gmachu
z cięciwy nowej drogi
srebrny bystrzycy grot
z wybuchem burzy
uparcie bił na zachód
rozkołysana wtedy pieśń
umierających roń
i księżycowa łódź
wpłynęły w rzędy mogił

zostałeś wtedy sam przyjacielu
kwitnęły białe astry
przyjacielu wtedy sam pozostałeś
tylko twe listy
czytałem
sam

STEFAN WOLSKI

Dojrzewanie

Poezji organy grzmią...
Ostatnie już płacisz raty
za ołtarze metafor i natchnień
i za księżyc posłuszny
skinieniu słowa,
za słońca nad sercem wieczne,
czad ziemi filtrujące.

A kiedy nagle odsłoniętym sensem
ktoś się zachłyśnie,
niech wiedzą —
panorama człowieka:
dno
i szczyt
w mozolnych dni głębokościach.

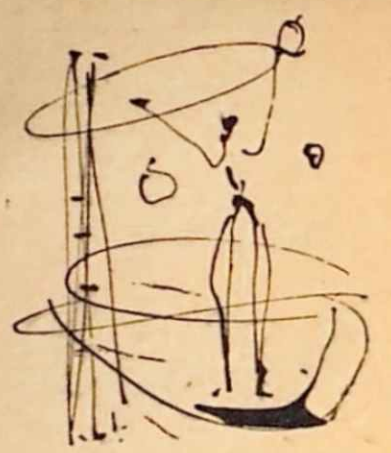

I w pracowni, którą jest wiatru
westchnienie,
cień listka leszczyny,
radość lub ból,
albo historii zębiska —
górnik:
myśl.

Lecz ty bacz,
byś w tym rozgwarze
i w świetle,
jak w Bacha koncercie
muzyczną frazę utrzymał
i własnej proporczyk kadencji.

A wieczorem
zapal lampkę oliwną
u skromnych skrzydeł
twoich młodych rymów.

ROBERT ROGOWSKI

Wybrzeże

I

Moje miasta cwałujące.
Mosty, które skaczą.
Na plaży miłość opala kobiety.
Między jednym morzem
a drugim Joanna.
Pora zwierzeń okrętów na molo.
Wybrzeże, gdzie przypływ
wyrzuca namiętność.

II

Wtedy pręży się moja miłość.
Morze z nieba i soli.
Molo w głębokim ukłonie.
Przybiega koń z piany.
Idziemy na kolację
do jednego wieloryba.
Pękają rośliny
i zapach wypływa rybakom.
Moja ciekawość bez brzegów.
Miasta, gdzie spędza się miłość.

III

Wybrzeże bez bocianiego gniazda
i kobiet płaczących dziko.
Do jutra leniwy nurku.

ANNA MARKOWA

Deszcz

WTEDY także padał deszcz. Pociąg miał odjechać za dziesięć minut, punktualnie o szesnastej trzydzieści. Na korytarzu nie można było rozmawiać. Ludzie przepychali się bez przerwy, zmuszając do ciągłego wstawania tych, którym udało się zająć rozkładane krzesełka. Halina powiedziała — Wyjdźmy stąd! To nie ma sensu —

Stanie na deszczu też nie miało sensu. Na krzesełku, które opuściła, skwapliwie usadowił się tęgi jegomość, ale to nie było ważne. Po kilku godzinach rozmowy ciągle miała wrażenie, że to co najistotniejsze — nie zostało powiedziane. Mimo to milczeli. W tłumie spóźnionych pasażerów dostrzegła czerwoną czapkę. Zażartowała. — Uważaj! Zaraz będzie: „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!". Uśmiechnęła się patrząc na rękę z drążkiem, zakończonym okrągłą tarczą. Leszek zauważył. — Masz zupełnie proste włosy. Takie mokre...

Teraz też pogoda była pod psem. Zatrzymali się przed jej bramą. Ten drugi podniósł kołnierz płaszcza. Wiedziała, że powie właśnie to. I nie omyliła się. Zresztą włosy były naprawdę mokre.

W gabinecie naczelnego

MAREK JAWORSKI

W gabinecie naczelnego redaktora zebrało się kilku dziennikarzy. Gazeta była już cała przygotowana, można było swobodnie odetchnąć.

— Za Mieczyka nigdy numer nie został tak wcześnie zamknięty — odezwał się Bolek z partyjnego.

— Mieczyk delektował się każdym artykułem — dorzucił Leszek z kulturalnego. — Z pasją stawiał szczególnie... przecinki.

— A później, w nocy, jeszcze musiał każdą szczotkę przeczytać. Inaczej nie zasnął.

godzinnych zebraniach. Nawet na Sylwestra potrafił nas męczyć do jedenastej w nocy. Pamiętam, przyszedłem raz do jego pokoju. Na stole śledzik z ogórkiem kiszonym. Naczelny dłubie ością w zębie. „Siadajcie, Jabłonka" — zwraca się do mnie uprzejmie. „Przeczytajcie ten artykuł. Napisałem go wczoraj. Jakie jest wasze zdanie?" Wskazał mi ręką fotel. Pamiętam tytuł tego artykułu: „Nowe wsiada na traktor w Wólce". Zacząłem przerzucać tekst. Spoglądał na mnie spod oka. Nawet przestał się zajmować zębem.

— Tak — przypomniał Zenek, spec od felietonów. — Nigdy nie miał klucza od bramy. Goniec przyczepiał szczotki do sznurka z drucikiem. Mieczyk ciągnął ten sznurek ze szczotką przez trzy piętra.

— Aby później — znów odezwał się Bolek — dzwonić do drukarni, że przed słowem „który" brak przecinka. Oj, Boże, co za piła! Mówiąc jednak szczerze, wolałem go od Jemioły.

— Brr — wzdrygnął się Leszek. — Można było oszaleć na tych dziesięcio-

„Towarzyszu Jabłonka — powiedział — wy za szybko czytacie. To jest poważny materiał". No to potem ślęczałem nad tymi pięcioma kartkami maszynopisu chyba z pół godziny. Był najwyraźniej zadowolony. Ale, na szczęście, nie musiałem wyrażać swego sądu, bo wezwał go ktoś telefonicznie z KW.

— A pamiętacie ten numer z Wiśniewskim? — ciągnął Zenek. — No, ten Wiśniewski, który przez pewien czas był superrewidentem! Puścił w tytule do wiadomości o jakimś powitaniu „Warszawa za.rana kwiatami". Dopiero pod koniec nakładu techniczny zniekształcił to nieszczęsne „r". I takie gazety przyszły do redakcji. Naczelny kupił jednak numer w kiosku. Myślałem, że się wścieknie.

Zygmunt, który nie odzywał się dotąd, wtrącił swoje „trzy grosze" do dyskusji.

— Mówcie, co chcecie, ale ja najlepiej wspominam Niebiałkę. To był naczelny nie z tej ziemi. W tamtych czasach! Wzywa mnie kiedyś do pokoju, zamyka szczelnie drzwi na klucz i pyta: „Powiedzcie, towarzyszu, co tam o mnie mówią w redakcji?" Miałem mu wygarnąć, że za wiele pije wódki i za babami lata? Powiedziałem: „Jest taka opinia, że wesoło się z wami pracuje". „Naprawdę — ucieszył się. — No to, napijmy się, towarzyszu, tylko cicho". Otworzył biurko i wyjął ćwiartkę czerwonej monopolówki. Gdy wytrąbiliśmy ją pod papierosa, nachyla się do mnie i szepcze: „Słuchajcie, towarzyszu, ta Hanka z korekty — to, panna, mężatka, czy rozwódka? Ona ma takie inteligentne spojrzenie". Nota bene przez tę Hankę spadł później ze świecznika. Za głośne to się zrobiło.

Naczelny redaktor siedział za biurkiem z wyraźnie osowiałą miną:

— No, a o mnie, co powiecie?

W gabinecie zapanowała gwałtowna cisza. Pierwszy przerwał ją Bolek:

— Zaczekamy, aż was zdejmą.

— Albo wyślą w dyplomaty — uzupełnił Zenek.

Po chwili milczenia naczelny powiedział:

— Towarzysze, zaplanujmy numer na pojutrze!

Tegoroczne wino

WSPOMNIENIA osiągnęły punkt kulminacyjny. Mówili teraz o sprawach, które „nie wrócą już, mój drogi, nie mogą wrócić — i to jest właśnie najgorsze". Daniela nigdy nie przypuszczała, że można być tak maniacko przywiązanym do błahych studenckich historyjek sprzed kilku lat. Sama przerwała studia na pierwszym roku, nie zdążyła się zarazić tą całą atmosferą, nie rozumiała tego — i kropka. Ale kochała Piotra — a Piotra cieszyły odwiedziny kolegów i te drobne, przez nich tylko notowane rocznice. Spodziewała się dziecka i nie czuła się najlepiej. Wyrywała się co chwila z kręgu papierosowego dymu i aluzyjnej rozmowy. Nie była dobrym kumplem, to fakt. Nawet dawniej nie miała na to zadatków, a teraz zatraciła także ruchliwość i wyczucie atmosfery bezładnych towarzyskich posiedzeń.

Kanapki były kiepskie a jałowcówki śmieszne mało na nich pięciu. Piotr nachylił się do niej i szepnął — Daj nam tego naszego wina, dobrze? — Chyba jeszcze za wcześnie — zaprotestowała słabo i wtedy Piotr przekornie spojrzał na zegarek, chociaż wiedział dobrze, o co chodzi.

Wino robili razem, w tym roku. Jabłka były z ogrodu teściów. Przez dwa wieczory skwapliwie studiowali broszurkę o przetworach z owoców i jarzyn, kładli drożdże, ogrzewali. To mogłoby być wspaniałe wino, ale teraz nie powinno go się ruszać. Piotr jednak uparł się i nie warto było zaczynać długich, męczących targów. Zwłaszcza przy ludziach. Nalała z gąsiorka kilka butelek, jedną postawiła przed nimi. Piotr popatrzył na nią z wahaniem, zaproponował — Do wódki cię nie namawiam, ale wino... Chyba nie zaszkodzi — Nie miała najmniejszej ochoty. Stała przez chwilę, nie wiadomo dlaczego zwlekając z odmową. Męczyło ją jakieś niejasne skojarzenie, obraz sprzed dwóch lat. Po odejściu Stefana piła podobne, kiepskie wino, sama, do lustra. Przełykała je szybko jak lekarstwo, z tajonym wstrętem. To trwało długo, ale skąd nagle teraz... Teraz kocha Piotra i wszystko jest w porządku.

Wypiła szybko, jeden po drugim kilka kieliszków. Musieli się zdziwić i jeszcze ostrzej poczuła swoją niepotrzebność w tym pokoju.

Zatrzymała się niezdecydowanie na środku kuchni. Nie było już nic do noszenia, do podawania. Usiadła opierając łokcie na tłustawej ceracie przykrywającej stół. Myślała uporczywie, na przemian — Wszystko jest w porządku. Trzeba kupić nową ceratę. Wszystko jest w porządku. Trzeba kupić... — Kiedy udało się jej odtworzyć tę myśl w całości, zlękła się.

Po jakimś, trudnym do określenia czasie usłyszała głosy w korytarzyku a potem trzask drzwi od klatki schodowej. Teraz Piotr powinien był wejść do kuchni i zapytać, dlaczego nie śpi, jak się czuje. Przecież wszystko było w porządku. Ale nie zrobił tego. Podniosła się i wróciła do pokoju. Stał przy otwartym oknie, nieruchomy cień. Światło było zgaszone. Nieoczekiwanie przypomniała sobie scenę z dramatu Szaniawskiego. „Dwa teatry", grali to zaraz po wojnie, a teraz znowu. Pomyślała — patrzy na las, ciągle patrzy na las... Natręctwo tamtego tekstu zabolało. Podeszła szybko i dotknęła ramienia Piotra. Odwrócił się. Powiedział, słowa rozmazywały się i gubiły końcówki — Czego tu chcesz? Nie myślałem o tobie...

W dzień, normalnie odpowiedziałaby — No to co? — Tylko że teraz wszystko było prawdziwsze i bardziej zrozumiałe. Jakby w pokoju leżał niewidoczny pocisk, który nieodwołalnie wybuchnie. Schyliła się gwałtownie i podniosła porzucony na podłodze papier. Czuła się jak ktoś, kto tym ruchem wyrywa zapalnik, zostawiając w kącie martwy i niegroźny już kadłub pocisku. Odpowiedziała spokojnie, z nutką kojącej, codziennej gderliwości — No chodź już, chodź. To przez to wino. Mówiłam, że jeszcze za wcześnie...

O przyszły plan Lublina

WOJCIECH GÓRNY

„Nie chcemy takich przewodników", pisał siedem lat temu H. Gawarecki (Życie Lubelskie Nr 265) omawiając przewodnik Przyborowskiego „Lublin i ziemia lubelska". Od tego czasu wyszedł nowy przewodnik po Lubelszczyźnie, pióra kompetentnych fachowców, między którymi sam autor recenzji opracował sztukę i zabytki. Można by i tu wprawdzie życzyć sobie coś niecoś więcej, np. informacji o etnograficznym i gwarowym zróżnicowaniu terenu, rzucających światło również na stare stosunki plemienne. Nie idzie tu jednak o te drobiazgi, nie z tego względu chciałem przypomnieć stary artykuł. Idzie o to, że dziś wypadnie strawestować tytuł tamtej recenzji: „nie chcemy takich planów Lublina".

Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych wypuściło w ubiegłym roku kalendarzowym serię długo oczekiwanych planów większych miast w Polsce. Niestety, Lublin *) nie został zbyt starannie opracowany. Mimo powodzenia, jakie zapewnia wydawnictwu stały popyt na tę publikację, trzeba przynajmniej wskazać na niektóre rzeczy, aby nie przeszły siłą bezwładności do następnych wydań.

Plan, najzupełniej słusznie, został połączony z krótkim informatorem o mieście. Moje uwagi będą dotyczyły głównie strony opisowej, szczegółowe rozpatrzenie rysunku pozostawiam bardziej kompetentnym specjalistom. Niedokładności w wykonaniu części kartograficznej można prędzej złożyć na karb trudności technicznych czy tzw. obiektywnych. Warto jednak zapytać, czy to właśnie jest przyczyną dziwnie przedstawionej zabudowy Placu Litewskiego czy faktu, że Plac Katedralny zniknął zarówno z planu jak ze skorowidza. Można by wręcz przypuścić, że w zapale odtwarzania zabytków zrekonstruowano również starożytne kolegium jezuickie. Obraz miasta cierpi ogromnie na niewprowadzeniu rozróżnienia pomiędzy terenami zabudowanymi i pustymi. To zresztą jest cechą wspólną ostatnio wydanych planów. W ten sposób jednak łąki nadbystrzyckie stwarzają pozór terenu zamieszkałego, pozbawionego ulic, natomiast wyposażonego w spore stawy. Na kolor zielony zasłużyły sobie u autorów tylko parki i ogródki działkowe, podobnie zresztą jak Muzeum na Majdanku oznaczone symbolami drzew jako las mieszany (na planie Krakowa Błonia otrzymały jednak sam zielony kolor bez rysuneczków, było to więc możliwe). Przy tym wszystkim trudno występować z dezyderatem uwidocznienia ważniejszych obiektów. Zresztą może jakąś tajemnicą trzeba tłumaczyć niemożność oznaczenia niektórych większych zakładów. Oznaczono jednak, choć ogólnikowo, FSC, obiekt o bardzo dużym znaczeniu gospodarczym. Nikt nie wymaga oczywiście, aby oznaczono i podpisano nawet wojskowe składy amunicji. Nie wiem doprawdy, czym należy tłumaczyć pominięcie wyrazu „Stadion" przy napisach „Start" i „Sparta".

W ogóle do tych napisów można mieć wiele pretensji Popularne „Miasteczko Akademickie" to tylko „Domy Akademickie". Czemu wśród „Parków Miejskich" nie nazwać jednego „Ogrodem Saskim": — chyba, żeby trudniej było się dopytać. Cały rozdział skarg to nazwy dzielnic. Zniknął popularny Czwartek (będący nie tylko ulicą, jak to jest na planie, lecz w ustach ogółu mieszkańców i na wszystkich dostępnych mi starszych planach — przedmieściem a potem dzielnicą Lublina). Starsze plany znają jeszcze dzielnicę Wiktoryn, wiedzą również, że Ponikwoda jak i ponik nie pisze się przez g, co przepisano chyba (podobnie jak niektóre inne błędy pisowni) z planów rysowanych na początku bieżącego stulecia przez Cholewińskiego, bo starsze znowu piszą „folwark Ponikwod(a)".

Ten typ błędów nasuwa zresztą refleksje o potrzebie współpracy językoznawcy-onomasty. Ostatnio z pomocą Urzędu Rady Ministrów językoznawcy lubelskich uczelni zajmowali się zbieraniem i ustalaniem nazw miejscowych na Lubelszczyźnie. Wynikami swoich badań co do nazw z terenu miasta Lublina mogłaby służyć profesor UMCS dr Bronisława Lindertówna. Przy takiej współpracy mogłoby się dopiero okazać, czy zasługuje na pogrzebanie stara nazwa „Piaski" dla okolic Dworca, czy może trzeba już nanieść na kartę popularną

(Dokończenie na str. 7)

*) Plan Miasta Lublina, Warszawa 1957, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, cena zł 10.

WOJCIECH BIEŃKO

Gryfy! Gryfy!

Koniec świata. Widziałem gryfy zielone na strychu. Umawiały się na wódkę. Wykształcone gryfy. Szybko, szybko, wychodzić, koniec świata! — wołały.

Ledwie zdążyłem podpalić papiery i uprosiłem gryfy o pięć minut. Grażyna, Grażyna... Tam, jest sama w pokoju! Gryfy! Zaśmiały się uprzejmie, trzasnęły wilgotną, zimną łapą po plecach i zaczęły szczać pod płotem śmiejąc się obleśnie.

Zamknąłem drzwi za sobą i Grażynka w koszuli podbiegła do mnie wylękniona. Gryfy zaglądały do okien i chichotały lubieżnie.

To jest koniec świata, który zaczyna się w każdym momencie. Gryfy! Gryfy! Grażyna nie mówiła nic, ja też milczałem.

Zapomnieliśmy o końcu świata chyba my jedni na świecie.

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

Światła

Kładę ręce na stole,
kładę na stole pióro,
patrzę:
kolorowy blask biegnie,
skaczą węże neonów,
drgają lampy uliczne,
tańczy calypso księżyc.
W ogniu świateł i myśli
pełznę w chłodny cień ściany,
by miękko wtulić się w mrok
i czekać, czekać, czekać.

KAZIMIERZ E. STESZUK

W oknie

Dwa czerwone
rozpłaszczone języki po szybie
tańczą.
Wtem
słońca złocisty strumień
uderzył o płaszczyznę szkła.
Dwa czerwone języki
znikły.
W oknie
pozostał tylko uśmiech
i zdziwienie.

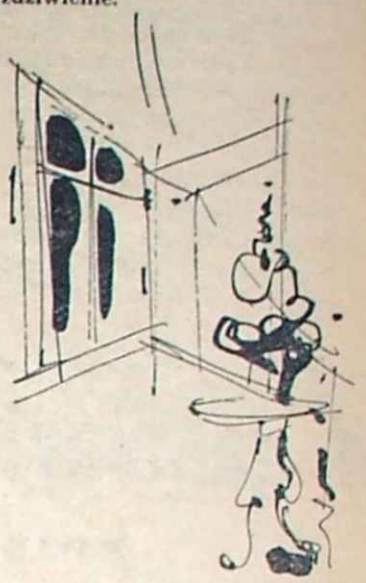

JAN ST. STEFANIAK

Piętnasty mechanizm

Na dole
garść sczerniałych metafor
karaluchy słów
pełznące po śmietnikach
Poezja cuchnących ulic
i krzyku który zamarł
nim otworzył usta
a na siódmym piętrze
mieszkają Tęczowi
na siódmym piętrze
świeci księżyc z bristolu
i tańczy balet lunatyków
z Moulin Rouge
Tęczowi patrzą w gwiazdy
widzą siebie
w lśniących aureolach
na najwyższym szczycie nieba
gdy patrzą w dół
przez zwierciadła wielkich
teleskopów
nie widzą nic
Na dole
stoi winda
która rzadko jeździ w górę
ma zepsuty
piętnasty mechanizm

Poznań
na literackim zakręcie

(Dokończenie ze str. 3)

te strony świata" są wyjątkowo nieudanym almanachem poetyckim.

Ale niepokój, ruch i przełom zaznaczył się w ostatnim półroczu nie tylko w poznańskiej poezji, lecz i w prozie: powieści, opowiadaniu, nowelistyce. I tutaj obserwujemy lawę debiutów, tym razem debiutów raczej wtórnych, w zakresie nieuprawianego dotąd gatunku literackiego, czasem nawet — jak w przypadku Stanisława Hebanowskiego — na ukoronowanie dość długiej już drogi twórczej. Tylko Eugeniusz Paukszta i Leszek Prorok przedstawili „Opowieści niecodzienne" i „Suitę w tonacji moll" jako trzecie tomy swych opowiadań, natomiast pokrewne im w gatunku „Ślady czasu" są — jak już wspominałem — pierwszą książką Stanisława Hebanowskiego w ogóle, a „Białe lato" Włodzimierza Odojewskiego i „Operacja Milczący Most" Przemysława Bystrzyckiego — to debiuty tych pisarzy w trudnej sztuce powieści.

Ostatnio wydane w zbiorach książkowych opowiadania Paukszty i Proroka prezentują bodaj najlepsze osiągnięcia nowelistyczne tych pisarzy. „Opowieści niecodzienne" wyróżnia — oprócz bogactwa tematyki, zdecydowanie — w porównaniu z „Kartkami z Ziemi Lubuskiej" i „Czarownicą z Zielonej Góry" — bardziej harmonijna kompozycja i wnikliwsza charakterystyka psychologiczna bohaterów. „Suita w tonacji moll" zbiera w sobie najciekawsze, jak dotąd, pomysły nowelistyczne Proroka, szczególną sympatią obdarzającego ów bardzo trudny rodzaj prozatorskiej wypowiedzi. Wprawdzie i w tych tomach obaj pisarze nie pozbyli się jeszcze zastarzałych mankamentów swego literackiego rzemiosła: Paukszta nadal używa zbyt chętnie łatwych, bo obliczonych na sentymentalizm i histerię czytelnika, chwytów literackich, Prorok nie zawsze potrafi ująć w karby swą kolekcjonerską, rozgadaną sympatię dla faktu i szczegółu w opisie; ale i pod tymi względami widoczne są w „Opowieściach niecodziennych" i „Suicie w tonacji moll" wyraźne zmiany na lepsze.

Natomiast trudno dopatrzyć się pocieszających prognostyków w debiutach powieściowych Włodzimierza Odojewskiego i Przemysława Bystrzyckiego. Ambicje literackie tych dwóch zawziętych dotąd nowelistów były niewątpliwie wielkie: Odojewski chciał w „Białym lecie" wyzyskać wielkie szanse współczesnego romansu obyczajowego — „Operacja Milczący Most" Bystrzyckiego to nasycona polskimi realiami i rodzimą problematyką polityczną powieść kryminalna, której tak niecierpliwie oczekują i domagają się nasi liczni odbiorcy literatury „z dreszczykiem". Niestety, wynik tych eksperymentów nie wypada raczej dla obu pisarzy zadowalająco: Odojewskiego zawodzi na całej linii podstawowa dla romansu psychologiczno-obyczajowego umiejętność analizy i wyjaśniania tajemnic ludzkiego wnętrza przy pomocy motywów i przesłanek racjonalnie obiektywnych, umiejętność osadzania swoich bohaterów w konkretnym tle, środowisku społeczno-obyczajowym, które potrafi nadać perypetiom ludzkiego serca tonację prawdziwego dramatu, a nie histerycznego melodramatu. Inaczej, bodaj nawet odwrotnie, jest w powieści Bystrzyckiego: motywacja społeczno-polityczna „Operacji Milczący Most" odbija aż nadto wyraźnie i jednoznacznie, niemal schematycznie, od płaskich i bezbarwnych aktorów szpiegowskiej afery, zupełnie niepogłębionej w swym ludzkim, psychologicznym i obyczajowym aspekcie. Jeśli jednak „Operacja Milczący Most" mimo wszystko stanowi w porównaniu z debiutanckimi opowiadaniami „Warkocze" pewien krok naprzód w opanowaniu przez Bystrzyckiego trudnego rzemiosła prozaika — nie można tego samego powiedzieć o roli „Białego lata" w całokształcie literackiego dorobku Włodzimierza Odojewskiego; w dalszym ciągu wydany przed kilku laty „Upadek Tobiasza" stanowi najmocniejszą i najbardziej obiecującą publikację wśród jego książek.

Niewątpliwe i nie tylko formalne zewnętrzne cechy debiutu literackiego ma za to tom opowiadań „Ślady czasu" Stanisława Hebanowskiego, znawcy teatru, jak również krytyka i tłumacza literatury francuskiej. „Ślady czasu" prezentują nam innego Hebanowskiego: miłośnika tematyki biblijnej, zaciekłego kolekcjonera trudnych do zrozumienia i opisania problemów psychologicznych, interesującego naśladowcę i kontynuatora nowoczesnych, rodem zresztą przeważnie z dwudziestolecia, stylów i technik pisarskich. W konstrukcji postaci ludzkich Hebanowski zbliża się do Odojewskiego lub raczej — biorąc pod uwagę różnicę wieku i stażu literackiego obu pisarzy — Odojewski upodabnia się do Hebanowskiego tak samo nie dorysowując motywacji obiektywnej, realistycznej spraw i czynów swoich bohaterów, tak samo przekładając weryzm zwłaszcza psychologicznego szczegółu czy niuansów nad prawdopodobieństwo całości. Dlatego najdojrzalsze wśród opowiadań Hebanowskiego wydają się jego apokryfy biblijne, skąpane w delikatnej, poetyckiej aurze, subtelne w psychologicznym cieniowaniu, a jednak zmysłowo plastyczne w obrazie. Kreślą one najciekawiej przyszłość Hebanowskiego — nowelisty.

Niestety, w dwóch działach literatury brak książkowych, i nie tylko zresztą książkowych, publikacji poznańskich pisarzy: w dramaturgii i krytyce literackiej. Milczy tutaj zawzięcie Janina Morawska, nie powtarza — na scenie lub przynajmniej w druku — swych prób dramaturgicznych Leszek Proprok, o debiutantach w służbie, wymagającej co prawda, Melpomeny jakoś głucho. Podobnie jest z krytykami: opowieść o młodości Martina Andersena Nexö, pióra Egona Naganowskiego, ukaże się dopiero za kilka miesięcy, a Aleksander Rogalski opublikował jedynie tom publicystycznych szkiców niemcoznawczych pt. „W kręgu Nibelungów". O debiutujących zaś na łamach poznańskiej prasy krytykach literackich i teatralnych, w rodzaju Włodzimierza Odojewskiego, przez uprzejmość zamilczeć wolę...

Z tego pobieżnego przeglądu książkowych publikacji poznańskich pisarzy, jakie ukazały się w ostatnich miesiącach, z ich tematycznej i gatunkowej różnorodności, a także nieposlednich ambicji artystycznych wolno chyba wyciągnąć wniosek, że swoisty zakręt, zwrot w drodze literackiego Poznania nie jest fikcją i pobożnym życzeniem krytyków i polityków kulturalnych, lecz bardzo realną rzeczywistością. Życzyć sobie tylko należy, aby owo obiecujące ożywienie literackiego Poznania zmieniło się co prędzej z zadziwiającego, ale nasuwającego obawy co do swojej sporadyczności i krótkotrwałości momentu, w stan jak najbardziej trwały i permanentny i by zapoczątkował on może nawet ponowny, złoty okres w literaturze i kulturze Wielkopolski.

Zbigniew Pędziński

DWANAŚCIE MIESIĘCY *pewnego* eksperymentu

Monolog o „Głosie Ziemi Lubelskiej"

Na wstępie powiedzieć trzeba jasno i niedwuznacznie: powstanie i rozwój pierwszego w Polsce Ludowej tygodnika Prezydium WRN wiąże się nierozdzielnie z przedpaździernikowym procesem demokratyzacji; jego istnienie zależne jest od dynamizmu i aktywności tego procesu; jego aktualność uwarunkowana wiecznie żywą potrzebą pogłębiania i umacniania tego procesu w tzw. terenie. Powiedzieć również trzeba, że powstanie „Głosu Ziemi Lubelskiej" stanowi pionierską próbę poszukiwania nowych, nic nie mających wspólnego z bezduszną rutyną oraz skostniałym formalizmem, metod budzenia i ugruntowywania obywatelskiej i gospodarskiej świadomości w podstawowych ogniwach terenowej władzy ludowej, jakimi są niewątpliwie powiatowe i gromadzkie rady.

Tak się jakoś dziwnie logicznie i konsekwentnie złożyło, że koncepcja pierwszego w kraju pisma terenowych rad narodowych wiąże się ściśle z jednym nazwiskiem. Ponieważ zaś, jak powszechnie wiadomo, nazwisko jest tylko i wyłącznie znakiem rozpoznawczym ludzkiej indywidualności, bardziej słusznie będzie, jeśli powiemy, że koncepcja i powstanie na naszym terenie nowego pisma wiąże się ściśle z absolutnie nieprowincjonalną indywidualnością jego założyciela i opiekuna: aktualnego Przewodniczącego Lubelskiej WRN — Pawła Dąbka.

Pismo rodziło się powoli. Przeżyło też w ciągu dwunastu miesięcy swego istnienia wszystkie typowe choroby okresu „ząbkowania". Deklaracja Kolegium Redakcyjnego zamieszczona w pierwszym numerze (1—7 maja 1957 r.) gubi się jeszcze w mglistych ogólnikach lub grzęźnie w zbyt ciasnym utylitaryzmie. A więc: albo „załatwianie naszych lubelskich spraw" albo „podnoszenie wykonawstwa(!) planów gospodarczych", między innymi dodatkowo — walka z „agresywną postawą warcholskich grup". Na samym wstępie zaś groźne ostrzeżenie: „wyłącznie dla radnych, członków komisji, aktywu i pracowników rad narodowych". Brzmiało to niemal jak — „ściśle tajne!..." Niestety, treść pierwszych numerów nie miała nic ze smaku „owocu zakazanego". Przez pewien, krótki na szczęście, okres, charakter nowego pisma wahał się nieustannie między normalnym „miejskim" tygodnikiem, prasowym referatem skarg i zażaleń, generalnym „naganiaczem" w dziedzinie realizacji obowiązkowych dostaw a administracją, prasową amboną. Tu i ówdzie wyczuwało się w podtekście podręcznikową znajomość psychiki adresata, nieoswojenie z terenem, starannie maskowaną bojaźń przed kanciastą egzotyką zaplanowanej problematyki oraz wzruszającą świeżość zawodową członków Kolegium Redakcyjnego. Dodajmy brak wzorów, na których można by się było oprzeć, chroniczne opóźnianie numerów... Wszystko wskazywało na to, że pismo powinno się oczywiście jak najszybciej „położyć"!

W ciągu dwunastu miesięcy nowy tygodnik znalazł się w otwartej sprzedaży kioskowej, powiększył nakład z 6 do 16 tys., zwiększył objętość o 4 kolumny (z 4 do 8 kolumn), poszerzył swą bazę zyskując w WZGS współnakładcę, a w GS dodatkowych odbiorców, stworzył silny kolektyw pozaredakcyjny — stał się pismem wiejskiego czytelnika. Tyle fakty, zupełnie nietypowe dla smutnego precedensu, jaki obserwujemy w tej dziedzinie.

Przyczyną tego nietypowego w naszej obecnej rzeczywistości zjawiska jest, jak się zdaje, specyficzny rodzaj zamówienia społecznego, z którym mamy tu prawdopodobnie do czynienia. Pisma, które dziś wyrastają jak grzyby po deszczu, wegetują lub rozpadają się. Proces ten jest logicznym następstwem faktu, że powstawanie owych pism w większości wypadków uwarunkowane bywa wyłącznie potrzebą wypowiedzenia się mniejszej lub większej grupy ludzi o zbliżonych poglądach. Potrzeba wypowiedzenia się nie jest jednak jednoznaczna z istnieniem odpowiednio szerokiego kręgu chętnych słuchaczy czy czytelników.

W wypadku „Głosu Ziemi Lubelskiej" rola Kolegium oraz aktywu pozaredakcyjnego sprowadza się do zaspokajania żywotnych zainteresowań określonego kręgu czytelników, a więc, jak mówiliśmy poprzednio, do realizowania specyficznego zamówienia społecznego.

Lektura numerów pisma z ostatnich sześciu miesięcy zorientować nas może, bardzo ogólnie choćby, jakiego rodzaju i typu są owe potrzeby i zainteresowania oraz jaka jest ich skala. Szczegółowa analiza ostatnich numerów „Głosu" pozwala na wstępie stwierdzić, że najmłodszy lubelski tygodnik wyszedł daleko poza zakreślone uprzednio skromne ramy pisma instruktażowo-szkoleniowego działaczy i aktywistów rad narodowych oraz że zdecydowanie i bezpowrotnie zatracił swój pierwotny charakter jednokierunkowej „transmisji". Rozpiętość tematyczna, różnorodność poruszanej problematyki, bogactwo gatunków, form i metod publicystycznego oddziaływania świadczą o poważnym poszerzeniu kręgu odbiorców. W rocznicę powstania „Głosu Ziemi Lubelskiej" należy stwierdzić, że nowy tygodnik stał się stałym pismem wsi lubelskiej, niezbędną prasową trybuną wielotysięcznych rzesz ludności wiejskiej i małomiasteczkowej Lubelszczyzny. Świadczą o tym między innymi materiały publikowane na łamach tego pisma, świadczy przede wszystkim wciąż wzrastająca liczba adresatów. W jednym tylko numerze wybranym zupełnie przypadkowo, znaleźć można obok siebie artykuły pisane pod kątem widzenia WRN i WZGS, adresowane do rad terenowych i terenowych GS, artykuły zawierające postulaty i życzenia oraz poruszające bolączki miejscowej ludności, adresowane do macierzystych rad i GS, artykuły i informacje przeznaczone dla wszystkich mieszkańców Lubelszczyzny, publikacje terenowych działaczy i radnych, stanowiące ciekawą formę wymiany doświadczeń między poszczególnymi radami, artykuły poruszające zagadnienia oświatowe, kulturalne, zdrowotne, wychowawcze itd. itd. W konsekwencji, przy lekturze pierwszego rocznika pisma, uderza przede wszystkim coraz wyraźniejsze dążenie młodego, ambitnego Zespołu Redakcyjnego do odzwierciedlania na łamach tygodnika całej, specyficznej i złożonej rzeczywistości lubelskiej prowincji. Dążenia te zmuszają Zespół Redakcyjny do nieustannego doskonalenia swych umiejętności zawodowych oraz nieustannego bogacenia stylu i metod pracy. Znajduje to swój wyraz w różnorodności form oddziaływania publicystycznego: obok artykułów — krótkie informacje, polemiki, wywiady, reportaże, fotoreportaże, felietony, migawki, stałe rubryki (np. porad prawnych) itd. Poruszane zagadnienia zawsze niemal oparte są na mocnej podbudowie konkretnych przykładów i na jasnej, przejrzystej analizie konkretnych faktów i zjawisk. Są jeszcze luki, są przykłady „drętwej mowy", są artykuły zawieszone w próżni i bez adresu. Wciąż za mało artykułów demaskujących nadużycia i wypaczenia, jak dotychczas zastępują je artykuły informujące i komentujące negatywne zjawiska w życiu prowincji lubelskiej. Wciąż za mało również materiałów odzwierciedlających złożoną specyfikę miast i miasteczek powiatowych Lubelszczyzny.

Są to małe niedociągnięcia i nieistotne braki. W ostatecznym bilansie liczy się przede wszystkim mrówcza, uparta, twórcza (właśnie: twórcza) praca ludzi, którzy na pewno nie są orłami i niczym się nie różnią od setek i tysięcy lubelskich speców od narzekania i marnotrawstwa. Tym chyba jedynie, że coś jednak robią. Dobrze robią.

Marchołt

RYSZARD DĘBOWSKI

Słuchając „Popołudnia fauna" Claude Debussy'ego

Zapach ciała i woń ust
gdy do ust się zbliżą.
Nie ma, nie ma, nie ma słów.
Świat jest muzyką.

Barw motylich rzeka, powódź,
w późnym słońca cieniu
i ów pólsen w zachwyceniu
z niczego.

Aż go odszedł sen widomy.
Rozswawolił siebie w tan.
Zza zielonej łąk zasłony
wybiegł
wyzwolony
faun.

Mało świata! Mało, mało,
tak by się w ramionach chciało
zamknąć chwilę, czas,

gest utrwalić by się chciało,
zawrzeć wiecznie piękne ciało
w pastelowy blask.

Mijają lata i zimy.
Zielono wokół lub biało.
Jeszcze tylko do piękna tęsknimy,
gdy pięknem jest ciało.

Rys. Jan Padée

O przyszły plan Lublina

(Dokończenie ze str. 6)

nazwę „Klin". Można by wtedy rozstrzygnąć wątpliwości co do nazw ulic, za które nie są już odpowiedzialni układacze planu, lecz Miejska Rada Narodowa. Nazwa „Podzamcze" została przyznana ulicy na miejscu dawnej Franciszkańskiej, pustej zresztą i dosyć od Zamku oddalonej. Natomiast periodyki lubelskie chętnie określają w ten sposób Plac Zebrań Ludowych wraz z otoczeniem (trzeba przyznać, że nazwa mniej oficjalna i poręczniejsza). Kiedyś Podzamczem zwało się wschodnie sąsiedztwo Zamku, na wschód zaś od ulicy Podwal mamy takąż dzielnicę na planie miasta Lublina z 1829 r. Warto by przy tej okazji przedyskutować również i uporządkować sprawę nazw ulic.

Lament wzmaga się raczej, gdy patrząc na odwrotną stronę planu stajemy przed niedomaganiami, których byśmy się w ogóle nie spodziewali. Są to błędy ortograficzne typu Kościół **po Brygidkowski** — jakby przepisane z planu na rok 1912. W tym jednak wypadku nie można zrozumieć, jak mogła nie zwrócić na to uwagi adiustacja wydawnictwa.

Kuleje część informacyjna. Chyba nie z braku miejsca nie wymieniono wyższych uczelni i bibliotek, choć podano Domy Kultury. Nie zawsze łatwo będzie trafić według podanych informacji. Przyjrzyjmy się łańcuszkowi objaśnień: Miejski Dom Kultury — Zamek; Zamek — Plac Zebrań Ludowych. Lepsza już, choć trzeba by zmienić porządek elementów, jest trzecia informacja: Muzeum Miejskie — Pl. Zebrań Ludowych (Zamek). Restauracja „Pod Karasiem" jest na Pstrowskiego 10, za to Teatr „Gęgorek" po prostu na Pstrowskiego — ciekawe, czy go kto obcy szybko znajdzie.

Alfabetyczny spis ulic również nie pozostaje bez winy. Znowu „Dr. Biernackiego". Nie powinno się pisać również 1-go Maja („Jednego Maja"), 3-go Maja i umieszczać tych ulic pod M zamiast po prostu napisać „Pierwszego Maja" i włączyć do spisu alfabetycznie. Różnie bywa z podawaniem imion. Brak ich np. Fornalskiej, Koźmianowi (sporo było znanych Koźmianów), kiedy indziej podaje się np. Luksemburg Róży, Oczki Wojciecha, tym razem w rażącym „urzędowym" szyku, którego unika się najłatwiej pisząc „Róży Luksemburg" i włączając pod L, tak jak Pl. Łokietka pod Ł czy Dra Biernackiego pod B. Bardzo wątpliwe, czy warto rozpraszać nazwy ulic zwanych Alejami zamiast skupić je pod A. Króla Leszczyńskiego dałbym pod K dając odsyłacz spod L (w ogóle przydałoby się kilka odsyłaczy niezależnie od takich czy innych rozwiązań).

Warto by czasem wprowadzić taką innowację, aby podawać odmianę nazwy. Nie każdy bowiem może wiedzieć np. czy Morsztynów to mianownik podobnie jak warszawski Sewerynów, Sewerynowa czy też niezmienny dopełniacz — ulicy Sewerynów itd. — jak Bandtkich.

Oto garść refleksji, jakie nasuwa przeglądnięcie „Planu Miasta Lublina".

Wojciech Górny

TADEUSZ STOLARZ

DEBIUT

Oczekiwanie

Za oknem już noc i deszcz stale leje,
po szybach płyną małe missisipi.
Ciągle się łudzę, że we drzwiach klucz skrzypi,
a to wiatr blachą szarpie i szaleje.

Sam siedzę w domu miotany tęsknotą —
i na cóż zda się daremne czekanie?
Dobrze mieć serce, ale tylko dotąd,
dopóki ono nie cięży jak kamień.

O sobie

Za chatą polna droga. Czarny wiatrak stoi —
wiatr go bije po skrzydłach, wyrywa zeń pióra.
A ja jestem jak listek — miota mną wichura —,
jak trawa, której nikt się podeptać nie boi.

Są kwiaty w oknie moim proste jak ja prosty —
przeglądam się co rana w wazonach glinianych.
Po co się do rąk moich, do rąk spracowanych
wbijają jeszcze twarde, kaktusowe osty?!

STEFAN ZARĘBSKI

Braki

(z notatek pechowca)

Na balu byłem ongi:
Brać wszystko — typek w typa!
I panny jak posągi!
I szał... I tango „Czypa..."
Ach, był pamiętny bal to:
Pamiętam zwłaszcza fakt,
Że wchodząc miałem palto —
Wychodzę — palta brak!

Szukałem pracy: Taniec.
Gonitwa. Istny pościg.
Wszędzie mi grzmią: „Podanie!
Świadectwo moralności!"
Podanie jeszcze guzik —
Ba, lecz skąd tamto, jak?
Gdy wszelkich cnót choć z tuzin,
A moralności — brak!

„Pelikan" na wystawie
Raz leżał... Bestia gładka.
A cena — darmo prawie...
Kupiłem — taka gratka!
Mam! Pisać chcę. Nie pisze...
O — tknęło mnie — zły znak!
Uśmiał się potem Zbyszek:
„Szmele ci opchnęli! BRAK!"

Raz pokazałem pazur...
W poezji. Jasne. Później
Gdzie wszedłem — szmer od razu,
Spojrzenia. Gesty. Różnie.
Kiedyś mnie nawet dopadł
Rozmowy strzęp: „...tak, tak
I ładny całkiem chłopak —
A głowa!... Czegoś brak..."

Raz znów... At, dajmy spokój:
Wiadomo... Lata biegą
I wciąż tak — rok po roku —
To tego brak, to tego...
Ba, miła, coraz częściej —
A niech to jasny szlag! —
Ciebie — ty „moje szczęście",
Ciebie mi nawet brak...

STYPENDIA I NAGRODY MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ ZA TWÓRCZOŚĆ LITERACKĄ I NAUKOWĄ

W celu zwiększenia kręgu literatów i naukowców zajmujących się dziejami oręża polskiego, współczesnym życiem wojska lub zagadnieniami obronności kraju, dla wyróżnienia szczególnych zasług w tej dziedzinie i tworzenia stałych bodźców dla podnoszenia poziomu nauki i literatury wojskowej, Ministerstwo Obrony Narodowej ustanowiło: trzy doroczne nagrody w wysokości 30 tys. złotych każda:

— za dzieło literackie (proza, poezja, lub utwór sceniczny) o ludowym Wojsku Polskim — jego tradycjach lub życiu współczesnym;

— za twórczość naukowo-techniczną związaną z obronnością kraju;

— za pracę naukową z dziedziny historii wojen i sztuki wojennej;

oraz pięć rocznych stypendiów w wysokości 30 tys. złotych każde — dla młodych literatów, historyków i naukowców, których prace związane są z dziejami Wojska Polskiego, jego życiem współczesnym lub obronnością kraju.

Nagrody i stypendia przyznawane będą corocznie w Dniu Wojska Polskiego przez specjalnie powołaną komisję, w skład której wejdą przedstawiciele Wojska oraz instytucji naukowych i związków twórczych.

Pierwsze nagrody i stypendia MON przyznane zostaną w dniu 15-lecia Wojska Polskiego, tj. 12 października br.

SPROSTOWANIE

Do poprzedniego numeru „Kameny" wkradł się błąd. Na stronie 3, w „Chińsko-niemieckich porach roku i dnia" Goethego w przekładzie Stefana Zarębskiego wiersz 50-ty zamiast **„Stęsknionym dążę krokiem"** — winien brzmieć **„Stęsknionym dążę wzrokiem"**.

Rysunki w numerze:

TERESA TARGOŃSKA

KSIĘGARSKIE nowalijki

Tak się składa, że sezon ogórkowy odczuwamy także w pewnym sensie i na rynku księgarskim, szczególnie zaś w dziale twórczości rodzimej, stąd też omówienie nowalijek wypadnie zacząć od literatury przekładowej, gdzie znajdziemy ciekawsze pozycje, jak np. doskonałą bezsprzecznie powieść W. Saroyana pt. „SMIERĆ NIE OMIJA ITAKI" (tytuł oryginału „The Human Comedy" — Pax, opr. brosz, z obwol., cena zł 25.—, nakł. 10.000 egz.). W powieści tej, której bohaterem jest mały doręczyciel telegramów, autor pokazuje destrukcyjny wpływ wojny na ludzi, choć tłem akcji nie jest bynajmniej teren działań militarnych, z nieuniknionym katastrofizmem zdarzeń, a tylko małe miasteczko w głębi Stanów, ponoszące konsekwencje przebiegu ostatniej wojny światowej. Tłumaczenie J. Dmochowskiej.

Na drugim miejscu muszę wymienić wydaną przez PIW-owski K.I.K. (Klub Interesującej Książki) „NIEZWYKŁĄ KOBIETĘ" J. Romains'a (opr. brosz. z obw., c. zł 16.—, nakł. 10.000), powieść współczesną o posmaku sensacyjnym, której bohater, zaintrygowany pewnymi aspektami postępowania matki, rozszyfrowuje powoli przeszłość swej opiekunki i w odwecie za okłamywanie go krzyżuje jej plany życiowe. Przekład A. Gostyńskiej.

Ukazał się wreszcie obszerny tom opowiadań M. Szołochowa w tłumaczeniu Wł. Broniewskiego pt. „OPOWIADANIA ZNAD DONU" (Czyt., opr. brosz. z obw., c. zł 22.—, nakł. 5.000). Zbiór zawiera jedenaście pisanych w latach 1923—26 opowiadań o tematyce związanej z okresem Wojny Domowej na Ukrainie i ugruntowywania się tam władzy radzieckiej.

Wyd. Łódzkie udostępniło polskiemu czytelnikowi oryginalną książkę A. K. Tołstoja (nie mylić z autorem „Drogi przez mękę"), współczesnego Gogolowi rosyjskiego pisarza romantycznego. Jest nią „UPIÓR" (opr. brosz. z obw., c. zł 12.—, nakł. 10.000), młodzieńcza powieść autora, przychylnie oceniona przez W. Bielińskiego jako „przemawiająca urokiem grozy do każdej nie zastarzałej imaginacji". Przekład T. Chróścielewskiego jest pierwszą próbą zapoznania polskiego czytelnika z twórczością b. oryginalnego pisarza-poety, satyryka i dramaturga.

Literaturę serbo-chorwacką reprezentują w dzisiejszych „nowalijkach" aż dwie pozycje: — „Czytelnik" w popularnej kieszonkowej serii „Nike" wydał bardzo interesującą psychologiczną powieść Mirosława Krieży pt. „POWRÓT FILIPA LATINOVICZA" (opr. płóc. z obw., c. zł 18.—, nakł. 10.000) w przekładzie M. Krukowskiej i Z. Stoberskiego. „Iskrom" natomiast zawdzięczamy tom opowiadań Ranko Marinkovića pt. „KARNAWAŁ" (opr. brosz., cena zł 8.—, nakł. 5.000) w tłumaczeniu H. Kality i Z. Stoberskiego. Proza Marinkovića posiada swoiste cechy subtelnej satyry, ciążącej ku grotesce poprzez włączanie elementów irracjonalizmu.

Staraniem PIW-u ukazała się druga książka wielkiego pisarza żydowskiego Szolema Alejchema — niedokończona powieść „MOTEL, SYN KANTORA" (opr. brosz. z obw., c. zł 15.—, nakł. 5.000) w tłumaczeniu St. Wygodzkiego, opatrzona słowniczkiem nie dających się przetłumaczyć wyrazów żydowskich, opracowanym przez S. Łastika.

Miłośników literatury pamiętnikarskiej i teatromanów ucieszy wiadomość o jubileuszowym (w 350-tą rocznicę urodzin) wydaniu „PAMIĘTNIKÓW" Carlo Goldoniego (PIW, opr. płóc., c. zł 59.—, nakład tylko 1.500!) w tłumaczeniu W. Rzepińskiej.

Ze wznowień wypada zasygnalizować ukazanie się trzeciego z kolei tomu powieści Colette o Klaudynie pt. „MAŁŻEŃSTWO KLAUDYNY" (PIW, opr. brosz. z obw., c. zł 12.—, nakł. 20.000) w tłumaczeniu H. Dolatowskiej.

Nowością na polskim rynku czytelniczym jest przełożona po raz pierwszy po 136 latach (przez E. Sicińską) osobliwa powieść E. T. A. Hoffmana pt. „KOTA MRUCZYSŁAWA POGLĄDY NA ŻYCIE ORAZ FRAGMENTY BIOGRAFII KAPELMISTRZA JANA KREISLERA, PRZYPADKIEM NA STRZĘPACH MAKULATURY ZACHOWANE" (Czyt., opr. płóc., c. zł 23, nakł. 10.000). Oryginalność konstrukcji tej książki polega na misternym przeplataniu równoległych dwóch wątków: — autobiografii przemądrzałego „chat des lettres" Mruczysława i odtwarzanych przezeń z fragmentów kradzionej swemu panu makulatury dziejów kapelmistrza książęcego, zawierających wiele elementów życiorysu samego autora. Wierny swej życiowej skłonności Hoffman prowadzi nas znów w fantastyczny świat bajki, pełen aluzyj do współczesnych autorowi osób i stosunków, kreśląc w istocie subtelny, ironiczny pamflet na odwieczne słabostki charakteru ludzkiego. Opowieści brak zakończenia, co było spowodowane przedwczesną śmiercią autora.

Najświeższe nowości wydawnicze literatury polskiej reprezentuje tom opowiadań historycznych B. Sujkowskiego pt. „GASNĄCE BŁYSKI" (Iskry, opr. brosz., c. zł 20.—, nakł. 10.000) o tematach zaczerpniętych tym razem z historii Polski — od epoki najazdów tatarskich po schyłek Rzeczypospolitej szlacheckiej, oraz druga z kolei powieść kryminalna E. Niziurskiego, wydana w MON-owskiej serii „Labirynt", pt. „PRZYSTAŃ ESKULAPA" (opr. brosz., c. 15.—, nakł. 30.000).

Ze wznowień trzeba zapowiedzieć drugie wydanie „NIECIERPLIWYCH" Z. Nałkowskiej w ramach „Biblioteki XX-lecia" (Czyt. opr. brosz. z obwol., c. zł 15.—, nakł. 7.000), nowe wydanie wesołej powieści W. Rapackiego (syna) pt. „ROMANS PANI MAJSTROWEJ" w serii „Biblioteki Powieści i Romansów" LSW (opr. brosz. z obw., c. zł 12.—, nakł. 20.000) oraz specjalnie opracowany wybór fantastycznych opowiadań St. Grabińskiego, wydany przez „Czytelnika" pod tytułem „NIESAMOWITE OPOWIEŚCI" (opr. brosz., c. zł 18.—, nakł. 27.000). Na koniec, dla subskrybentów edycji „Dzieł wybranych" G. Zapolskiej wiadomość o ukazaniu się XVI tomu tego wyboru, zawierającego „SZKICE TEATRALNE" (W. Lit., opr. płóc., c. zł 22.—, nakł. 10.000) przekazuje Wasz

Nowinkarz

Tryptyk poetycki

(Dokończenie ze str. 2)

rzeczy po swojemu i wygrywania nowych zestawień słów — ale stara się robić to za wszelką cenę, a więc dość przypadkowo. Ma zwłaszcza upodobanie do słów o ustalonej wartości poetyckiej „samej w sobie":

W nieba fiolet opadła dzień
pod oczami twymi pocałunki nocy
o barwie tej samej barwie żalu
czekania i bezradności.

(Fiolet)

W sumie wiersze te cechuje nieokreśloność obrazu i brak wewnętrznej dyscypliny. Brak tej dyscypliny sprawia, że dość często Dolecki wkracza na tereny zrytmizowanej prozy:

Wtedy twymi ustami palę papierosa
i krzywię je troszkę tak jak ty
i twymi oczami patrzę poprzez szyby
za którymi nie grozi nam już nic
i czeszę na szyi twoje twoje loki.

(Odwieczne)

Ale jest grupa utworów, która wyrasta ponad bezbarwność całości — wśród nich „Trójka", „Bączki", „Samotność" i „Portret śmiertelny". Świadczą one o konkretnych możliwościach poetyckich autora.

Tadeusz Kłak

NOTY

LITTLE ROCK CZYLI AMERYKAŃSKI CIEMNOGRÓD. W n-rze 31 „Trybuny Literackiej" zamieszczono wstrząsające fragmenty dziennika murzyńskiej uczennicy Minnijean Brown, która na próżno usiłowała skorzystać z ustawy Sądu Federalnego w Waszyngtonie znoszącej segregację rasową w szkołach publicznych i po roku okrutnych szykan ze strony białych kolegów w Central High School zrezygnowała z prawa uczęszczania do tej szkoły. Działo się to w stutysięcznym mieście w r. 1958. Mój Boże, a u nas już w r. 1790 Kołłątaj stwierdził: „czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy, — człowiek jest i w niczym się od nas nie różni".

POMIMO PRZYSŁOWIOWEJ KANIKUŁY przeczytaliśmy w „Nowej Kulturze" dwie sensacyjne wiadomości: 1) Wilhelm Mach jest w posiadaniu rękopisów Zygmunta Kryczyńskiego. Fragmenty drukowane w numerze 29 i 30 „Nowej Kultury" świadczą o tym, że mamy tu do czynienia z rasowym i niezmiernie interesującym pisarzem (zm. w roku 1941 w 30 roku życia), którego puścizną powinny się zainteresować nasze wydawnictwa; 2) Julia Hartwig, jak o tym dowiadujemy się z n-ru 31 tegoż pisma, zbiera w Paryżu materiały do napisania książki o Apollinaire'ze.

„PROWINCJA 58". Pod tym tytułem zamieszcza „Współczesność" w n-rze 20 apel do młodej inteligencji na prowincji o współpracę z pismem przez zamieszczanie w nim korespondencji dotyczącej życia kulturalnego w określonym mieście i województwie.

-kaj-

odpowiedzi redakcji

P. P.

H. Ol. w Nowym Sączu. Dziękujemy za życzenia. „Ten ginący świat dotykam". Powinno być: „Tego ginącego świata dotykam". Zatrzymujemy „Czas".

Maria F. z Lubelskiego. Surowe, ale nie grafomania. Wydaje się, że warto pracować. Radzimy na razie mniej pisać a więcej czytać.

K. P. w Skarżysku. Z wierszy nie skorzystamy. Dziękujemy za życzenia.

St. Kr. w Wąwolnicy. Miniatur nie zamieścimy.

Zb. T. M. w Bydgoszczy. „Małżeństwa" nie wydrukujemy.

K. M. K. w Miliczu. Nie skorzystamy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marie-Antoinette Allevy-Viala: Inscenizacja romantyczna we Francji, przełożył Wojciech Natanson, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Tadeusz Żeleński (Boy): Obiad literacki — Proust i jego świat, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Tadeusz Żeleński (Boy): Stendhal i Balzak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Stefan Jarociński: Orfeusz na rozdrożu, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

George Mikes: Cudze chwalicie, il. Nicolasa Bentleya, przełożył Szymon Laks, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Sergiusz Tretiakow: Tien Szy-Hue, przełożył Tadeusz Zabłudowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Stanisław Ignacy Witkiewicz

w oczach francuskiego intelektualisty

List Andre Goupil-Vardona do Jerzego E. Płomieńskiego

W związku z monografią zbiorową pt. „St. Ign. Witkiewicz. Człowiek i Twórca", redagowaną przez prof. T. Kotarbińskiego i J. E. Płomieńskiego, która się ukazała przed kilku miesiącami nakł. Państw. Instytutu Wyd. otrzymał Płomieński wielostronicowy list od francuskiego intelektualisty, Goupil-Vardona. List ten jest rodzajem eseju o osobowości Witkacego. Autor rozsiał w nim również sporo cennych uwag o Witkacym, jako człowieku. Goupil-Vardon mieszkał w okresie międzywojennym przez lat 12 w Polsce, głównie w Zakopanem, gdzie stykał się często z Witkiewiczem, z Konińskim i Płomieńskim, z którymi się zaprzyjaźnił. Łączyły go również pewne stosunki intelektualne z czołowymi filozofami polskimi, tj. z prof. T. Kotarbińskim i prof. R. Ingardenem. Zaznaczał on swój głęboki sentyment dla Polski i żywe zainteresowania dla polskiej kultury. Jego długi list o Witkacym do Płomieńskiego jest szczególnie znamiennym zwierciadłem, które pozwala poznać, jak wygląda sąd przedstawiciela francuskiego intelektu o St. Ing. Witkiewiczu. List Goupil-Vardona ukaże się w tekście francuskim oraz w polskim przekładzie w jednym z pism warszawskich.

Al Morgan: Wielki człowiek, przełożyła Cecylia Wojewoda, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Adolf Rudnicki: Niekochana, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958.

Ryszard Górski: Bolesław Leszczyński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Halina Świetlicka: Leontyna Halpertowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Garcia Lorca: Poezje wybrane, przełożył Jerzy Ficowski, wstępem opatrzył Stanisław Zembrzuski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Baudelaire: Kwiaty zła (wybór), opracował i wstępem opatrzył Mieczysław Jastrun, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Apulejusz: „Metamorfozy" albo „Złoty osioł", tłum. Edwin Jędrkiewicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Pierre La Mure: „Miłość nie jedno ma imię", tłum. M. Trybesowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958

Pierre Brodin: „Presences contemporaines". Litterature t. I et t. II Nouvelles Editions Debresse, Paris, 1956

Józef Wittlin: Sól ziemi, Roy Publishers — New York

Picasso: „75-th Anniversary Exhibition", Published by the Museum of Modern Art, New York, 1957

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36.40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 3256. 2.VIII.58. 3100. K-4.